

05/2020

 **EQUESTRIA**
TIMES

38

Wiosna, wiosna, a ja w domu
Czyli jak przytyć na kwarantannie

Kim jesteśmy, dokąd tuptamy?
Equestria Times od kuchni

To już jest koniec
Nauki z ostatniego sezonu MLP:FiM

Witajcie, drodzy Czytelnicy!

W obecnej sytuacji możemy przedstawić dwa fakty. Pierwszy – że wciąż mamy stan pandemii, a w naszym kraju panują dalej restrykcje dotyczące życia społecznego. Drugi – że z powodu tychże restrykcji macie czas na przeczytanie tegoż numeru. A oto, co dla Was przygotowaliśmy w majowym wydaniu...

Najciekawszą i w mojej opinii najlepszą rzeczą w numerze jest krótki opis tego, jak funkcjonuje nasza redakcja. Przedstawiliśmy punkty widzenia zarówno redaktorów, korektorów, DTP, a także naczelnej oraz wicenaczelnych.

Oprócz tego chciałbym polecić Wam wywiad z Altusem Volantisem – człowiekiem, który oprócz zajmowania się ogólnie pojętą produkcją muzyki, udziela się także w fandomie poprzez działalność charytatywną w postaci wytwórni Helpie's Corner.

Jeśli zaś w trakcie domowej kwarantanny siedzicie w domach i nie wiecie, co moglibyście sobie ugotować do jedzenia, to nasza redakcja przygotowała sprawdzone przepisy na wszelkiej maści potrawy – od kotletów schabowych, poprzez pancake'i, piernik, chilli con carne z tortillami czy szarlotkę.

Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić, czytając niniejszy numer Equestria Times.

» Solaris

P.S. Pamiętajcie o zakładaniu maseczek na twarz i dokładnym myciu rąk. Chcemy, żeby stan naszych czytelników wzrastał, a nie spadał z przyczyn zdrowotnych.



facebook

mlppolska

Wykorzystano prace autorów:

BonesWolbach

Magfen

Spis treści

MANUFAKTURA

Betraying Tempest..... 5

PUBLICYSTYKA

Equestria Times od kuchni..... 8
Pinkie.exe..... 20
Nauki płynące z serialu: Sezon dziewiąty,
Pucuśne zwierzątka i dalekie wycieczki,
czyli czarna dziura..... 29
Kim jest Altius Volantis?- Wywiad..... 32
Helpie's Corner..... 41
Wywiad Catkitty..... 44

FELIETONY

Defekacja na dywan..... 56

POZOSTAŁE

Obejrzenie „Kotów” było pomyłką..... 58
Statystycznie rzecz biorąc, czyli ile trzeba
zjeść czekolady, żeby dostać nobla..... 59

KĄCIK KULINARNY

Przytyj z Equestria Times..... 60

ARTYSTYCZNY MIX

Gumzilla..... 73
Discord x Maud Pie..... 74
Portal z kucam..... 75
Ultimatum Sunset..... 76
Stop, Solaris Time..... 77

Redaktor Naczelny – Cahan

Redaktorzy wicenaczelni – Moonlight, Solaris

Redaktorzy – Gray Picture, Ghatarr, Victoria Luna, Malvagio

Korektorzy – Magda B, Midday Shine, SoulsTornado, Blackie

Dział techniczny – Macter, Porcelanowy Okular, Sosna, Catkitty, Kaduś

Redaktorzy Gościnni – Teo, M.C.

My Little Pony Friendship is Magic i Hasbro są zastrzeżonymi znakami towarowymi Hasbro Inc.
Redakcja Equestria Times nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam zamieszczonych w magazynie.



E for glorious EQUESTRIA



Największy w Polsce serwis
o tematyce My Little Pony

 nowinki

 fanarty

 fanfiki

 felietony

 i wiele innych



<http://www.fge.com.pl/>



[Romance][Comedy][Drama]

Betraying Tempest

Autor: ChibiRenamon

Nie jest tajemnicą, że uwielbiam niekonwencjonalne parowania postaci. Z zapartym tchem przeczytałem przyjemne opowiadanko w którym księżę Blueblood zakochuje się w niejkiej Derpy Hooves, na mojej liście widnieją chyba wszelkie możliwe kombinacje romansów króla Sombry, a ostatnio nawet dorwałem romans Trixie Lulamoon ze Starswirlem Brodatym (który, tak szczerze, też wypadłoby mi kiedyś zrecenzować). Tym razem udało mi się dopaść jednak dość niecodzienną parę, podlaną takimi ilościami absurdałnego humoru, że żałuję, że sam nie wpadłem na podobny pomysł.

» *Ghatorr*

Użytkownik o pseudonimie ChibiRenamon wzięła na warsztat sytuację po filmie My Little Pony, opisując wydarzenia mające już miejsce po spuszczeniu wpierniczu wielkiemu, małpopodobnemu tyranowi, który próbował zagarnąć dla siebie nie tylko Equestrię, ale i moce czterech alicornów. Niefortunnie, bo sam fakt, że Tempest Shadow odrobinię pomogła w zakończeniu brutalnego podboju (oraz życia) Storm Kinga nie oznacza, że od razu zostaje z otwartymi ramionami przywitana w Equestrii. Samo poparcie księżniczki Twilight nie sprawiło magicznie, że wszyscy zapomnieli o jej drobnym udziale w inwazji na Canterlot oraz pokonaniu i uwięzieniu wszystkich władczyń kraju. Biedaczka ciągle ma pewne problemy z interakcjami społecznymi, drobne objawy bardzo poważnego zespo-

łu stresu pourazowego i podlega społecznemu ostracyzmowi. Co gorsza, do Canterlot przybywa księżę Blueblood, który przebywał przez pewien czas poza domem i niezbyt ogarnia, co się dzieło w trakcie jego nieobecności...

Jak widać sytuacja jest wprost wymarzona do napisania zwariowanej komedyjki, do tego pewnie takiej, która kończy się morderstwem. Skąd w takim wypadku mowa o romansie? Sprawa jest banalna – księżę Blueblood jest tu na tyle arogantkim dupkiem, by wplątać się w zagrażającą życiu i zdrowiu sytuację z Tempest, ale jest przy tym na tyle inteligentny, by zauważyć, że niektóre z wyjaśnień odnośnie jej obecności w pałacu w Canterlot nie brzmią wiarygodnie. Robi się przy tym na tyle podejrzliwy, że w końcu dochodzi do wniosku, że półrożka musi knuć jakiś mroczny, zły plan – który on, jako patriota, musi pomóc wykryć!

A, jak wiadomo, najlepszym sposobem, aby coś wyciągnąć od klaczy, jest jej uwiedzenie.

Autor idealnie dostosował zarówno Tempest, jak i Blueblooda do takich komediowo-romantycznych klimatów, wykrzywając i wyolbrzymiając ich cechy dla lepszego efektu. Dzięki temu dostajemy tu półrożkę, która z jednej strony jest morderczą machiną do zabijania, śmiertelnie niebezpieczną dla otoczenia i reagującą stanowczo zbyt gwałtownie na próby wejścia do jej pokoju, ale z drugiej ma ogromne braki w wiedzy o społeczeństwie i niezbyt wie, jak się zachowywać w nowoczesnej Equestrii.

Equestriański książę też został odpowiednio rozwinęty, dzięki czemu jest wybitną, arystokratyczną mendą, ale potrafiącą planować. Normalnie w realizacji jego planów przeszkadzałby mu jego charakter, ale tak niedoświadczona życiowo klacz jak Tempest reaguje na nie inaczej, niż przeciętna klacz.

Dwójka bohaterów rzadko wystarcza do tego, by podtrzymać całe opowiadanie, więc autor otoczył ją wianuszkami postaci drugoplanowych. Począwszy od dupkowato-roztargnionego Soarina, którego niemiłe komentarze zaczynają cały tok wydarzeń prowadzący do początku „romansu” dwójki głównych bohaterów, przez próbującą udawać odpowiedzialną Spitfire, a na Regelreiterze – germańskim adwokacie Blueblooda kończąc. Jednym słowem, bohaterowie poboczni dają radę. Ba, od strony Tempest mamy do czynienia nie tylko z Grubberem, którego pojawienie się jest dość oczywiste, ale i ze stworami z armii Storm Kinga, dostarczającymi okazji do kilku zabawnych dowcipów.

Od strony technicznej opowiadanie prezentuje się nienagannie. Autor bardzo ładnie posługuje się językiem angielskim, dzięki czemu nic nie przeszkadza w cieszeniu się lekturą. Nie odnotowano żadnych rażących błędów, ścian tekstu, ani nagłych przeskoków w czasie, które by wybijały z rytmu.

Przy opowiadaniu opartym o tak wariackie założenie, jak Blueblood uwodzący Tempest dla dobra Equestrii humor jest, oczywiście, odpowiednio wariacki. Skisłem nie raz i nie dwa od czytania dziwacznych perypetii naszych bohaterów, niezależnie czy chodziło o Soarina i jego dość pieprzne skojarzenia, czy o Blueblooda próbującego zrozumieć tajemnicę germańskiej mowy.

Wymieniłem tu sporo pozytywów tego opowiadania. Czy w takim razie oznacza to, że jest to wielkie objawienie na scenie fandomowej, arcydzieło, które każdy powinien znać i które na zawsze zaszczyli swoją obecnością listy najlepszych dzieł stworzonych przez fanów My Little Pony? Niestety nie – a najważniejszy powód jest prozaicznie prosty. Autor po prostu się opiernicza. Pierwszy rozdział wydano w roku 2018, drugi dopiero w marcu tego roku. Jest to stanowczo zbyt wolne tempo. Można tylko mieć nadzieję, że w obecnej, dość wyjątkowej sytuacji na świecie ChibiRenamon będzie spędzał więcej czasu w domu i postanowi napisać kilka rozdziałów zanim większość z nas umrze ze starości, szczególnie, że chętnie bym się dowiedział jak Bluebloodowi poszła jego intryga.

Opowiadanie polecam – ale nie bezwarunkowo. Jeśli ktoś jest uczulony na humor który zbiegł z tego samego zakładu, gdzie próbowano leczyć batmanowego Jokera, albo nie ma cierpliwości do czytania opowiadań aktualizowanych rzadziej niż raz na rok, to raczej nie powinien się za to zabierać. Cała reszta może ze śpiewem na ustach ruszyć do czytania, pamiętając jednak, by się nie rozpędzać – ledwo człowiek zacznie wchodzić w porządną nastrój, to trafi na koniec tekstu, a takie zderzenie boli bardziej niż ze ścianą.

Dodam jeszcze, że „Betraying Tempest” ma przeuroczą okładkę, która od razu przykuła mój wzrok. Blueblood całujący zdziwioną półrozkę po kopycie, podający jej kwiaty i trzymający magią nóż za jej plecami? To opowiadanie nawet nie potrzebuje opisu – okładka dostarcza wszystkich informacji jakie są potrzebne, by rozpocząć lekturę. Mam pewnego pecha do okładek, bo gdy przeglądam FiMFiction, to te ładne stanowczo zbyt często skrywają koszmarnie dziadostwa pisane na kolanie, ale w tym wypadku jestem w pełni usatysfakcjonowany.



**Zapraszamy na
I Twilightmeet
Online!**

**23-24 Maja
2020 na
discordzie**



**Wejdź już teraz:
discord.gg/twilightmeet-online**



Equestria Times od kuchni

Na początku był Chaos...

Na początku był Chaos, a potem stworzyliśmy go jeszcze więcej. Znaczący, na początku istniał Brohoof, który się podzielił i tak powstało również MANEzette, a kiedy oba czasopisma się połączyły, to narodziło się Equestria Times, ale o tym przeczytacie już za miesiąc, w artykule o historii naszego magazynu. Tymczasem czas otworzyć dla Was magiczny portal, prowadzący nie do Equestrii, ale do o wiele ciekawszego miejsca. Do redakcji ET!

» Redakcja

Bycie jej członkiem oznacza, że ma się wobec niej pewne obowiązki, ale również przywileje. Przyjmujemy niemal wszystkich, jedyne nieodwołalne zasady to: ukończone piętnaście lat (młodszych możemy powitać w zespole, ale bez wstępu na konferencję oraz większość meetów), przestrzeganie zasad i podstawowa umiejętność pracy w zespole. Wypadałoby jeszcze umieć pisać, prawda? No, niekoniecznie.

Widzicie, ET składa się z kilku filarów: redaktorów, korektorów, DTP (dział techniczny – ludzie od składania czasopisma w specjalnym programie), grafików, ET Games i od niedawna również archiwistów. Te trzy pierwsze są o tyle ważne, że bez nich magazyn by w ogóle nie powstał. Oczywiście, moglibyśmy wydawać bez korekty (pewnie niektórzy złośliwi czytelnicy powiedzą, że już to robimy), a skład robić w Wordzie, ale wyglądałoby to wyjątkowo paskudnie. Jednak nie myślcie, że nie

doceniam pozostałych fuch, jakie u nas są. Dzięki grafikom możemy tworzyć ilustracje do artykułów, zabawne wstępniaki czy okładki tylko dla ET. Oraz komiksy. Natomiast archiwista dokumentuje, kto i o czym już pisał oraz kiedy, co ułatwia pracę redaktorom. Natomiast nasza drużyna od gier... wydała jedną grę, ale pracuje już nad kolejnymi!

Umiejętność pisania jest wymagana wobec redaktorów. Korektorzy powinni odznaczać się wybitną znajomością języka polskiego, a graficy muszą umieć rysować czy pracować z grafiką w inny sposób. Natomiast ludzie chcący należeć do DTP... Wystarczy, że lubią się uczyć, a my ich przeszkolimy. Ale co, jeśli nie spełniasz żadnego z tych warunków, a z jakiegoś dziwnego powodu chcesz dołączyć do drużyny? Posiadasz magiczną zdolność programowania i marzysz o robieniu gier? A może tworzysz muzykę, która nadałaby się do naszych gier? Znasz języki obce i lubisz tłumaczyć? Zagraniczne komiksy czekają!

ET rządzą naczelni – redaktor naczelną jest Cahan (to ja!), a jej zastępcami Moonlight i Solaris. Jednakże Equestria Times nie jest dyktaturą i wiele kwestii jest ustalanych na zasadzie demokratycznego głosowania. Jeśli coś się komuś nie podoba, to zawsze może zabrać głos i próbować mnie przekonać. Czy mu się to uda... Zależy od wniosku oraz od poparcia redakcji. Wbrew pozorom nie robię ludziom na złość, choć czasami kusi. Istnieje też możliwość pozbawienia kogoś stołka. Wystarczy, że tego zażyczy sobie większość.

Obecnie jesteśmy miesięcznikiem (w teorii), a to oznacza, że każdy redaktor powinien dostarczyć minimum jeden tekst na miesiąc do każdego numeru. Redaktorów gościnnych ta zasada nie dotyczy. Oczywiście, czasami życie daje w kość i można zrozumieć, że nie wyszło. Ba, potrafimy nawet zrozumieć brak weny, o ile nie jest on notoryczny. Przyjmuje się, że jeśli ktoś nie oddał nic przez trzy numery z rzędu, to wylatuje – chyba że miał naprawdę dobre powody.

Equestria Times nie narzuca ludziom tematyki tekstów, które mają trafić do czasopisma, choć preferowane są kucyki, ponieważ jesteśmy fanzinem o My Little Pony: Friendship is Magic. Zakazane są tematy nadmiernie polityczne, epatowanie gore oraz clop – ale recenzje takich fanfików można pisać. Generalnie kontrowersyjne tematy są do uzgodnienia z redaktorem naczelną.

Napisane artykuły, jako linki do Google Docs, trafiają na platformę Trello, na której każdy członek redakcji musi mieć założone konto. Jest ono darmowe i nie wymaga ściągnięcia aplikacji, za to ułatwia nam organizację pracy. Wszystkie teksty muszą spełniać normy DTP odnośnie formatowania oraz długości liczonej w słowach, a także liczby i jakości dostarczonych grafik. Zalecenia nie są trudne do przyswojenia i wzięły się stąd, że podczas składu większość formatowania leci uprawiać miłość – a co za tym idzie, coś, co miało być podkreślone kursywą i się wyróżniać, po prostu zniknie.

Po wyznaczonym przez naczelną deadline redaktorskim, przychodzi tydzień pracy korekty. Jest to również czas dla grafików oraz dla ludzi, którzy zapomnieli dostarczyć grafik do swoich artykułów. Kolejny tydzień przeznaczony jest dla DTP, choć, oczywiście, mamy obsuwę.

Ale Equestria Times nie żyje tylko pracą. Przynajmniej przed wszystkim jesteśmy drużyną. Patologiczną, składającą się ze skrajnie różnych ludzi (nie zawsze dla siebie miłych), ale drużyną. Co to znaczy? Że parę razy do roku organizujemy nasze własne, prywatne meety w różnych zakątkach Polski. Czasami na nich chodzimy i zwiedzamy, a czasami siedzimy i zwyczajnie gadamy. Alkoholu zazwyczaj jest stosunkowo niewiele.

Oprócz tego czasami siedzimy i gadamy na discordowym kanale głosowym, wspólnie czytamy fiki (i tzw. raki), gramy w gry itd. Może nie wszyscy

razem, a w małych grupkach, ale jeśli szukasz kompana do jakiejś aktywności, to może znajdziesz go właśnie w redakcji Equestria Times. Oprócz tego mamy żyjącą konferencję na Discordzie. Większość z nas jest już całkiem dobrymi znajomymi.

Integracja nie jest obowiązkowa, ale mile widziana. Obowiązkowe są, jak już wspominałam, konto na Trello oraz na forum MLPPolska lub na Discordzie.

W przypadku konfliktów między członkami redakcji zazwyczaj staramy się za bardzo nie wtrącać, dopóki ktoś nam nie zgłosi, że sobie czegoś nie życzy. Wyjątkiem są nowi, którzy jeszcze niekoniecznie wiedzą, jakie zachowania są żarcikami i przyjacielskim dogryzaniem.

Jeśli po przeczytaniu tego artykułu będziesz miał jakieś pytania odnośnie pracy redakcji, to zadaj je w komentarzu pod numerem! A teraz czas na... zwierzenia członków ekipy!

Cahan

Cóż, z ET jestem od początku jako jedna z Matek Założycielek. Wcześniej pisałam do Brohoofa i przez krótki czas pełniłam tam obowiązki wicenaszelnej oraz zajmowałam się rekrutacją. W Equestria Times przede wszystkim piszę artykuły, głównie kucowe, często fanfikowe, a także rekrutuję świeże mięsko. Czasem narysuję komiks. Do moich obowiązków jako naczelnnej należy tzw. organizacja. To enigmatyczne słowo oznacza burdel, bo nie należę do zorganizowanych osób. Wiem, to nie świadczy o mnie zbyt dobrze, ale to prawda.

Praca na rzecz redakcji stała się dla mnie obowiązkiem już wiele lat temu. Zestarzałam się, rozleniwiałam i często mi się nie chce. A wiem, że powinnam stanowić wzór. Bo jak mam wymagać od moich małych rosiczek, jeśli sama nie robię wystarczająco dużo? Ale to trudne. Obowiązki, zmęczenie, prokrastynacja. To nie brzmi zachęcająco, ale ET jest czymś więcej. ET to ludzie. To wspomnienia. To część mojego życia, jak głupio by to nie brzmiało. I nie chciałabym, by upadło.

Lubię, kiedy się rozwija. Cieszą mnie komentarze od czytelników i sądzę, że fandom potrzebuje takich inicjatyw jak nasza, bo to one przynoszą ludziom rozrywkę oraz oddalają czas końca. No i lubię tych ludzi, a to właśnie czasopismo ich łączy. Znaczą, inne rzeczy też.



Moonlight

Wciąż mam wrażenie, że zaledwie rok temu Cahan napisała do mnie z propozycją stworzenia artykułu o przyborach plastycznych do ET. Faktycznie minęły już prawie cztery lata. Od tego czasu nazbierałam sporo punktów doświadczenia i awansowałam na wicenaczelną. Tego na pewno się nie spodziewałam, gdy wysłałam ze stresem moje pierwsze artykułowe wypociny. Życie potrafi czasem zaskoczyć.

Szczerze, jeszcze za czasów Brohoofa myślałam, by spróbować zgłosić się do gazetki. Wtedy celowałam raczej w stanowisko grafika, ale zawsze odkładałam ten pomysł w czasie, bo uważałam, że nie mam wystarczającego poziomu do tak rozbudowanego projektu. To było głupiutkie myślenie. Ostatecznie dołączenie do redakcji zmotywowało mnie mocno do rozwinięcia swoich umiejętności artystycznych i możliwe, że bez tego nigdy nie otworzyłabym własnego stoiska z merchem na meetach. Redakcja pomogła mi też znaleźć nowych klientów oraz ludzi, którzy wspierają moją działalność, zagrzewając do dalszego rozwoju. Dzięki możliwości przeprowadzania wywiadów do fanzinu mam możliwość bliższego poznania innych rysowników związanych z kucykowym fandomem, a takie kontakty są dla mnie aktualnie bardzo wartościowe. Dobrze jest mieć wokół siebie ludzi, którzy wzajemnie się wspierają i inspirują, a także wymieniają krytyczne spostrzeżenia, dzięki którym nasza sztuka staje się lepsza.

Chociaż moja przygoda w redakcji zaczęła się od pisania recenzji artykułów plastycznych, ostatecznie dorwałam również mój wymarzony stołek grafika. Moje prace możecie zobaczyć najczęściej na dwóch pierwszych stronach czasopisma oraz w niektórych artykułach. Czasem trafi mi się zadanie przygotowania rysunku na okładkę. Razem z Cahan projektujemy też kucyki, które mają reprezentować poszczególnych członków redakcji. Gdyby tego było mało, potem doszła też fucha pomagiera Ghatorra... znaczy się głównej zarządzającej do spraw oprawy graficznej w ET Games. Z tego też powodu ostatnio staram się podnieść moje umiejętności w grafice komputerowej, bo przed dołączeniem do zespołu posługiwałam się głównie technikami tradycyjnymi. Dobrze mieć jasno określony powód do ćwiczeń. Zwłaszcza, gdy ma się możliwość stworzenia czegoś bardziej użytkowego od zwykłego statycznego portretu na kartce.

Czasem tęsknię za starym składem (choć jego spora część dalej pracuje nad ET, a z wieloma innymi utrzymuję kontakt, mimo że nie należą już do redakcji) i za starymi, dobrymi dniami, ale wiem, że to, co jest teraz, jest równie ważne. Inne, ale może stać się lepsze od przeszłości, jeśli dam temu szansę.

Wbrew pozorom nie lubię poganiać członków ekipy czy odbywać z nimi różnych trudnych rozmów. Nikt tu nikomu nie płaci, więc wszyscy robią to dobrowolnie. I wszystko byłoby fajnie, ale ten magazyn nigdy by nie wyszedł, gdyby nie deadline oraz zagrożenie selerem naciowym. Ludzie mają swoje sprawy, ale pozostaje dobro magazynu, a dbanie o nie jest moim obowiązkiem.

W ET jest zawsze sporo roboty, ale zawsze pozostaje kwestia: kto ją wykona? Kto napisze dodatkowe artykuły, bo na Trello panują pustki? Kto ogarnie fejsa? Kto zorganizuje meeta? No właśnie. Często ja, bo ktoś musi. I dlatego, że powinnam robić więcej, niż robię. Wyszyły mi tu trochę cierpienia młodej Cahan, ale trudności to część życia. Redakcyjnego również.

Aktualnie, jako wicenaczelną, zajmuję się też przydzielaniem pracy innym grafikom. Do każdego numeru potrzebujemy obrazka na okładkę oraz na strony zawierające spis treści i wstępniak. Czasem przygotowujemy je sami, a czasem pytamy o zgodę na użycie pracy innych fandomowych twórców. W przypadku tej drugiej opcji najczęściej pomaga mi Cahan, która przedtem zajmowała się tym sama. Do tego dochodzi też redakcyjny komiks, który ktoś musi wykonać. Od czasu do czasu przygotowujemy również spersonalizowane grafiki do artykułów, jeśli redaktorzy odpowiednio wcześniej zgłoszą taką potrzebę. To wszystko wymaga odpowiedniego rozplanowania, by nie zrzucić całej roboty na jedną osobę i by samo przygotowanie tego wszystkiego nie opóźniło dodatkowo wydania numeru. Oprócz tego zajmuję się składem okładki numeru. To z tego wszystkiego najprostsze i najprzyjemniejsze zajęcie, dzięki któremu mogę trochę pobawić się obróbką obrazu, co jest całkiem przydatną umiejętnością. Czasem piszę też wstępniaki i ogarniam nasz fanpage na Facebooku... i do tej pory nie zorientowałam się, że tego jest tak dużo, ale nie narzekam!

Mimo tego, że wciąż czuję się nowa w redakcji, jednak zdążyłam się już zżyć ze sporą częścią naszego zespołu. Jesteśmy grupą bardzo różnych ludzi, którzy mają czasem skrajnie różne zdania na dany temat, ale w ostateczności potrafimy razem stworzyć coś naprawdę ciekawego. Zazwyczaj staram się po trochu rozmawiać ze wszystkimi. Kiedy mam możliwość, tworzę drobne rysunki w ramach prezentów urodzinowych, by wszyscy czuli się jako tako dobrze w naszym uroczym projekcie. Gdy tak o tym głębiej pomyśleć, dla osoby z zewnątrz możemy wydawać się dość osobliwą i chaotyczną mieszanką indywidualistów, ale ja naprawdę czuję się w tej grupie bardzo dobrze. Wiem, że nie muszę przy nich udawać i mogę po prostu być sobą. Skoro zespół dobrze działa, to statystyki też w końcu pójdą w górę, a jeśli nie, to wiem, że przynajmniej będziemy się przy tym dobrze bawić!

Catkitty

Czytelnikiem Equestria Times (a wcześniej Brohlofa) jestem od kilku lat. Po drodze miałem również okazję udzielać się w gazetce szkolnej oraz z grupą kumpli stworzyć własny magazyn, więc po pewnym czasie zaczęła się u mnie pojawiać myśl o dołączeniu do redakcji ET. Na Krakowskim Ponymecie 18.2 w marcu 2019 roku Cahan (jak również Moonlight, ale głównie Cahan) poprowadziła panel poświęcony działaniu redakcji, który stanowił element rekrutacji nowych członków. Forma i treść tego panelu skutecznie wybiły mi wcześniej wspomnianą myśl z głowy. Wróciłem na Pomorze i zająłem się czymś innym, a mianowicie konstruowaniem własnego sterownika wyświetlacza autobusowego.

Jakiś czas później nastąpił zupełnie niespodziewany zwrot w moim życiu osobistym, przez który zacząłem mieć o wiele częstszy i intensywniejszy kontakt z ludźmi powiązаныmi z redakcją (w top 10 rankingu liczby wymienionych przeze mnie w ciągu ostatnich 24 miesięcy wiadomości prywatnych osoby z redakcji zajęły pierwsze, drugie i dziesiąte miejsce). Gdy redakcja poszukiwała dodatkowych grafików, Moon przypomniała sobie o tym, że zdarza mi się tworzyć grafiki wektorową, toteż zwróciła się do mnie z pytaniem, czy nie byłbym zainteresowany współpracą.



No dobrze, Cahan mogłem odmówić, ale koleżance, która posługuje się tym samym językiem, co ja, już niezbyt. Tym samym wpuszczono mnie na redakcyjny serwer komunikatora Discord, nadano rolę „Grafik” i nawet miło przywitano. Było to na tyle niedawno, że od czasu dołączenia miałem przyjemność zrealizować jedynie jedną grafikę, którą stanowiło przygotowane w ramach współpracy z Victorią Luną tło pod wstępniak do numeru 37 (w tym miejscu chciałbym skorzystać z okazji do odcięcia się od jakichkolwiek form poparcia dla zaprezentowanego na nim shipu). W międzyczasie miałem jednak okazję być wraz z Semaforem na dwóch ponymeetach, które pozwoliły mi na dołączenie do wspólnego pisania relacji, a poza tym raz na jakiś czas zdarzało mi się zerkać na znaki interpunkcyjne w dziełach Vic, do czego uzurpuję sobie swoistej maści prawo. Gdzieś na początku koronachaosu stwierdzono, że w sumie przydałaby się osoba, która byłaby w stanie uporządkować archiwalne artykuły, by można było w dość prosty sposób zapobiec powtarzaniu się tematów w następnych wydaniach. Moonlight stwierdziła, że z moją pasją do wszystkiego, co da się zrealizować w programie Microsoft Excel, byłbym do tego idealnym kandydatem. Przystąpiłem na to, tym samym zostając redakcyjnym archiwistą. Niedawno zabrałem się za realizację zadania, poczynając od zbierania danych. Czekam dość dużo pracy i, jeśli utrzymam obecne tempo, w drugiej połowie czerwca tego roku przeszukiwalne, kompletne archiwum artykułów czasopism Brohoof, Comichoof, MANEzette i Equestria Times powinno być gotowe.

Skoro już mowa o koronachaocie, sprawił on, że pomimo tego, iż współpracujemy już od kilku miesięcy, to nie miałem okazji spotkać się z resztą redakcji na żywo. Nie licząc Moon, Porcelanki i Vic, które znam sprzed momentu rozpoczęcia swojej przygody z czasopiśmem, nie mam bladego pojęcia, jak wygląda ktokolwiek z redakcji z naczelną na czele. Nieczęsto też mam okazję rozmawiać z redaktorami na czacie głosowym, bo ogólnie rzadko korzystam z tej formy komunikacji. Wynika stąd, że większość moich interakcji ze współtowarzyszami niedoli przybiera postać tekstową, która dość mocno utrudnia poznanie drugiego człowieka. Jak na razie redakcja w swym całym deterministycznym chaosie robi na mnie pozytywne wrażenie, zaś tym członkom, którzy nie w pełni przypadli mi do gustu, umilam życie swoją rozbijającą złośliwością.

Prywatnie interesuję się komputerami, pociągami, językami oraz jedną z redaktorek ET.

Gray Picture

Jak to jest być redaktorką?

Moim zdaniem to nie ma tak, że dobrze albo że niedobrze. Gdybym miała powiedzieć, co cenię w życiu najbardziej, powiedziałabym, że redakcję. Ekhm... Redakcję, która podała mi pomocną dłoń, kiedy sobie nie radziłam, kiedy byłam sama. I, co ciekawe, to właśnie przypadkowe spotkania wpływają na nasze życie. Chodzi o to, że kiedy wyznaje się pewne wartości, nawet pozornie uniwersalne, bywa, że nie znajduje się zrozumienia, które, by tak rzec, które pomagają się nam rozwijać. Ja miałam szczęście, by tak rzec, ponieważ je znalazłam. I dziękuję życiu. Dziękuję mu, życie to śpiew, życie to taniec, życie to miłość. Wielu ludzi pyta mnie o to samo: ale jak ty to robisz? Skąd czerpiesz tę radość? A ja odpowiadam, że to proste – to umiłowanie życia, to właśnie ono sprawia, że dzisiaj na przykład piszę artykuły, a jutro... kto wie, dlaczego by nie, oddam się pracy społecznej i będę ot, choćby sadzić... znaczny... marchew.

Wybaczczone mi to nawiązanie do Asterixa i Obelixa, to było silniejsze ode mnie.

Muszę się przyznać, że musiałam sprawdzić, jak długo już jestem w redakcji ET, bo nie pamiętałam. Ale na szczęście niedawno robiłam



porządek na Dysku Google (co ta kwarantanna robi z ludźmi), więc bez problemu znalazłam mój pierwszy tekst napisany dla ET. Wychodzi z tego, że jestem częścią tego (patologicznego) zespołu od grudnia 2016. Czyli już trochę czasu.

Czytelniczką byłam już wcześniej, choć ciężko mi powiedzieć jak długo. Parę razy przeszło mi przez myśl, że chciałabym dołączyć do redakcji, ale jestem doskonałym przykładem społecznej buły, więc pewnie sama nigdy bym się na to nie zdecydowała. Ale na szczęście Cahan napisała któregoś dnia do mnie z zapytaniem, czy chcę zostać redaktorką. Nabazgrałam próbny artykuł, zostałam przyjęta i oto jestem.

Z pisaniem jest u mnie różnie. Czasem, kiedy mam ciekawy pomysł (przynajmniej według mnie) i dobry dzień, to słowa praktycznie same pojawiają się na monitorze. Ale bywa też tak, że bezmyślnie gapię się w ekran, nie mogąc złożyć sensownie brzmiącego zdania. Lecz mimo to mogę powiedzieć, że całkiem lubię pisać do tego fanzinu. Oprócz bycia społeczną bułą jestem też równie leniwą bułą, więc mimo że pisanie jest rzeczą, którą całkiem lubię, to bez wizji deadline'u i poganiającej naczelnej pisanie szło mi opornie. A tak to zawsze te parę słów w miesiącu naskrobię. Nawet gdybym coś napisała, to pewnie nigdy nie opublikowałabym tego czegoś, a dzięki ET ktoś tę moją radosną twórczość czyta (nawet jeżeli jest to tylko Bogu ducha winny korektor).

Żałuję trochę, że pod numerami nie ma wiele komentarzy. Moją ulubioną serią artykułów, które napisałam, była „Podróż przez generacje”. A to właśnie dlatego, że jedna osoba regularnie komentowała chyba każdą część. Kiedyś mieliśmy wgląd, ile osób przeczytało dany artykuł, ale aktualna wersja Issuu każe sobie dopłacać za ten luksus, więc obecnie komentarze są jedynym znanym mi sposobem, żeby się dowiedzieć, jak popularny był dany artykuł.

Mimo tych paru lat stażu w redakcji, na redakcyjnym meecie byłam tylko raz. Ale było przyjemnie, więc kiedyś pewnie wybiorę się jeszcze na kolejny. Jednak na to trzeba czekać, aż rzeczywistość wróci do normy.



Na zakończenie mojej części pozwolę sobie podzielić się krótką historią. Teraz myślę, że jestem w całkiem dobrej relacji z ludźmi z redakcji, ale nie należę do osób najłatwiej nawiązujących nowe znajomości (nie bez powodu moją najlepszą przyjaciółką jest moja kotka), ale nie zawsze tak było. W zamierzonych czasach zamiast Discorda do komunikacji z innymi ET używało technologii, która jest tylko jeden stopień wyżej od wysyłania znaków dymnych, czyli GG. Gdy dołączyłam do ekipy, nie znałam tu osobiście nikogo, jedynie kojarzyłam parę osób z... powiedzmy „widzenia” z forum i z ich artykułów. Zamiast jak normalny człowiek przywitać się, zacząć rozmowę albo chociaż, już niekoniecznie jak normalny człowiek, zarzucić żartem o dziecku w piekarniku, potrafiłam co jakiś czas włączać GG i czytać konfę, zastanawiając się „jak w zachowania socjalne”. W końcu coś tam popisałam, ale niewiele. Tak niewiele, że w niedawnej rozmowie wyszło, iż duża część redakcji nawet nie pamięta, że byłam na starej konfie. Więc moja rada brzmi – nie bądź jak Gray.

Victoria Luna

Jak się tu znalazłam? Nie wiem (i chyba nie chcę wiedzieć). Ale wiem jedno – lubię tu być.



Equestria Times to idealne miejsce, by wykazać się mniej (lub) więcej w ciągu miesiąca. Ja mam dosyć szerokie pole do popisu, ponieważ, oprócz stanowiska redaktorki, na plakietce mam jeszcze napisane „Grafik” oraz „ET Games”. Jest co robić...

Nie byłam czytelniczką Brohoofa, bo wtedy po prostu nie wiedziałam o czymś takim jak fandom. Byłam kolejnym widzem, który widział jedynie jeden wymiar w postaci samego serialu.

Jako redaktorka pracuję od mniej więcej roku (oficjalnie dołączyłam 18.03, nieoficjalnie w podobnym czasie). Pierwszym artykułem, który oddałam do „druku” był wywiad z Eljonkiem – polską artystką i Art Director w Exiled Game Team. Nie mam konkretnej szufladki, jeśli chodzi o teksty. Staram się nie ograniczać do jednej kategorii, więc piszę, o czym tylko się da – wywiady, relacje, recenzje... Mogłabym wziąć na tapet tematy plastyczne, lecz to jest działka Moonlight. Nie chcę ludziom kraść pracy, poza tym zajmowała się tym na długo przed moim pojawieniem się w redakcji miesięcznika.

Nie lubię się spóźniać, lecz zdarzają mi się (dosyć mocne) poślizgi z napisaniem artykułu. Jest to spowodowane moją... drobiazgowością. Jeśli temat, którym się zajmuję, jest na liście moich zainteresowań/hobby/pasji lub po prostu jest to coś dobrego (pod względem jakości, nie smaku), to po prostu muszę go dobrze opisać, a nie rzucić kilka słów, żeby odbębnić miesiąc.

Jako graficzka oraz jedna z osób pracujących przy projekcie ET Games, nie miałam jeszcze zbyt wielu okazji do wykazania się. Ostatnio nie był to mój najlepszy czas, choć czuję w kościach, że zbliża się mój Chworny Dzień...

A poza kuchnią Equestria Times? Osiemnaścieletnia uczennica szkoły średniej o nieco dziwnych marzeniach. Artystka hobbystka, a z pasji – wielka miłośniczka zwierząt, głównie psowatych. Dumna właścicielka dwóch sierściuchów, z czego jeden szkolony na psa obronnego, a drugi – odstraszającego.

Midday Shine, alias Mid

Korektorka. Tylko i aż. Potrafię upstrzyść Docsa kolorkiem jak jakiegoś dalmatyńczyka, bo czepiam się wszystkich błędów, jakie wypatrzę. Z drugiej strony jestem jednak człowiekiem, więc czasem może mi się zdarzyć coś przepuścić. Zwłaszcza jeśli mam do czynienia z tekstem pełnym małych bzdetów, typu źle postawione przecinki. Wtedy najłatwiej przeoczyć jakiegoś babola.

Współpracę z ET, na zaproszenie Cahan, zaczęłam dokładnie 12 listopada 2017 r., po zdaniu testu korektorskiego, podobno bardzo trudnego. Moim zdaniem był na średnim poziomie. Ale może to dlatego, że już wcześniej miałam styczność z korektami i widywałam niekiedy gorsze przypadki.

W każdym razie: początkowa propozycja zawierała jeszcze stanowisko redaktorki, ale się na to nie zdecydowałam. Nie żałuję. Biorąc pod uwagę moje zwykłe tempo pisania tekstów wszelakich, pewnie bym wyleciała z redakcji (albo przynajmniej została pozbawiona tego etatu) przy pierwszej okazji.

W życiu prywatnym bywam dość emocjonalna. Gdy mam gorszy dzień, potrafię się wku-



rzyć albo rozplakać o byle co. Z drugiej strony złość na ogół przechodzi mi dość szybko, więc nie jest chyba tak źle. W internecie wygląda to inaczej, bo gniew/irytację mogę po prostu przecze-kać, a dopiero potem wrócić do rozmowy.

Poza tym od czasu do czasu lubię coś upiec. Stąd te słodkie przepisy w mojej części kącika kulinarnego.

Solaris

W redakcji mam największy staż, do Brohoofa dołączyłem po wydaniu pierwszego numeru. Kiedy zobaczyłem, jak żałośnie wygląda formatowanie fanzinu, to zgłosiłem się jako korektor plus konsultant od układu stron, gdyż będąc w liceum w klasie humanistyczno-dziennikarskiej, mieliśmy wykłady na UJ, gdzie opisywano między innymi, jak powinna wyglądać poprawnie złożona gazeta. Zresztą nieskromnie mówiąc, widać skok jakościowy już od drugiego numeru Brohoofa. W późniejszym okresie byłem zastępcą naczelnego oraz szefem korekty.

Następnie z powodu pewnych różnic programowych zorganizowaliśmy bunt na pokładzie razem z kilkoma innymi osobami z Brohoofa, czego wynikiem było powstanie MANEzette, którego byłem przez pewien okres czasu Redaktorem Naczelnym oraz korektorem.

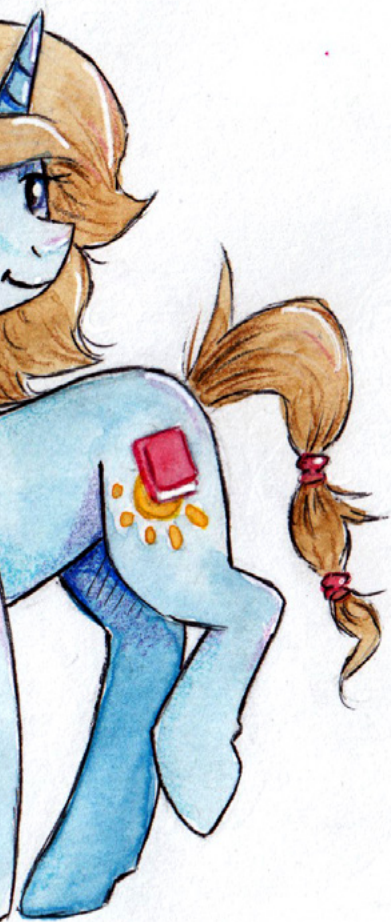
W końcu stworzyliśmy Equestria Times, w którym jestem obecnie wicenaczelnym oraz szefem korekty. Jako szef korekty mogę powiedzieć, że nie bijemy naszych redaktorów (a je-



śli już, to tak, żeby nie widać było śladów), choć czasem mam wrażenie, że rekrutację prowadzimy poprzez Animal Planet, bo niektóre artykuły wyglądają, jakby były napisane przez goryla po wylewie. Z drugiej strony i tak są lepsi od Mactera piszącego tekst do numeru (tak jak w przypadku tegoż artykułu, który sprawdzam. No i się, kurwa, doczekałem. A to był taki ładny weekend...). Rozumiem, że możecie mnie nie lubić. Ale nie musicie się od razu znęcać.

Wracając do kwestii pracy korekty – nie przeprowadzamy cenzury artykułów naszych redaktorów, żeby nie wyszło, że pracują w GUłagu. W sumie, dopóki wszyscy pracują jak przystało ku chwale ~~ludu robotniczo-chłopskiego~~, to nic złego im się nie stanie. Pracy nie mamy zbyt dużo, bo nasi redaktorzy się ~~objijają~~ mają własne życie. Czasem ~~piszę przemowę jak Jaruzelski za czasów stanu wojennego~~ wstępniaka (trzeba odbębnić czasem obowiązki wicenaczelnego). Najwięcej pracy mamy, kiedy spływają artykuły, które staram się rozdzielać po równo według liczby słów. Zwykle nie mamy problemów z czasowym wyrobieniem się ze sprawdzeniem artykułów, więc osobiście przyznam, że korekta w postaci mnie, Magdy B, SoulsTornado i Midday Shine działa jak sprawnie naoliwiona maszyna.

Co mogę powiedzieć o reszcie redakcji? Że są to ~~połtli~~ wspaniali ludzie, którzy mają ~~chore~~ fajne ciekawe hobby i z którymi nie można się nudzić



(choć ugadać się na wspólne granie jest ostatnimi czasy praktycznie niemożliwe). Co nie zmienia faktu, że z perspektywy czasu jest to chyba najbardziej zgrana i najmniej konfliktowa redakcja, w której byłem, a już 8 lat siedzę w tym „biznesie”.

P.S. Nie wiercie Cahan, że wszystko jest na jej barkach, nie robi wcale za Winkelrieda Equestria Times, choć bardzo się stara, aby tak się wydawało. Ona próbuje się stylizować na jednego z tych bohaterów w stylu „ooooch, pękło mi moje szlachetne serce”. Coś Ty, dziewczyno, siedem lat w kołchozie żeś spędziła, że miałaś takie trudne życie? Takie starcze pierdolenie zostaw takim staruchom jak ja.

M.C.

Siedem lat. Siedem lat mojego życia zmarnowane tutaj. Siedem pięknych, młodych lat, których już nigdy nie odzyskam. Mogłem nauczyć się malować, grać na instrumencie, założyć rodzinę, posadzić dom czy wybudować drzewo, ale nie, musiałem siedzieć tutaj. Nosz qrwa.

Moja przygoda zaczęła się od zobaczenia na forum postu od Bobula (świeć Panie nad jego duszą [*]), iż redakcja Brohoof rekrutuje. Pomyślałem „czemu nie”, napisałem artykuł o fanfiku, Bobul zaakceptował i zostałem wciągnięty w to bagno. Gdybym wiedział wcześniej, na co się piszę, to dałbym sobie w pysk, usunął całą tę rozmowę i udawał, że nie znam tego człowieka. Ale niestety, czasu się nie cofnie. Zostałem w tej patologicznej rodzinie i dalej tu gniję niczym nieboszczyk w zaawansowanym stopniu rozkładu. Ale nie mogę powiedzieć, że wszystko było złe. Nigdy nie zapomnę ludzi takich jak Magenta (R.I.P. Solaris [*]), której krasomówstwo i zdolności gnojenia ludzi są legendarne. Martinez, który urwał się z Playboya i próbował coś u nas pisać. Cygnus, który... nieważne. KingOfHills i jego magiczny telefon, Dolar, który gonił nas łopata, Solaris, który urwał się z wioski hobbitów, i wielu innych, których już

z nami nie ma, jak i też sporo nowych mięs-arnatnich członków redakcji, którzy z jakiejś przyczyny jeszcze nie uciekli. No i oczywiście wspaniała, wielka, różowa ośmiornica.

Historia mojej odsiadki tutaj sama w sobie jest ciekawa. Gdy Solaris wraz z innymi zdrajcami niezadowolonymi ludźmi powiedzieli Bobulowi i Sowie basta, zakładając MANEzette, ja dzielnie zostałem, bo nie będę srał do własnego gniazda. Redakcja stanęła przed dużym znakiem zapytania, czy cała ta wojna, jak i dalsza praca, ma sens. W pewnym momencie Bobul ~~umarł na marskość~~ po rozmowie ze mną postanowił, że to koniec jego ery i nadał mi status naczelnego. Największy błąd w jego życiu, zaraz po otworzeniu pierwszej butelki Amareny. Udało mi się poredaktorzyć przez kilka numerów, aż pewnego dnia złapałem Dolara na śląskim mecie i razem ustaliliśmy, że ta walka fanzinów mija się z celem i pora zakopać topór wojenny. Odbyliśmy rozmowę poprzez GG i tak powstał ten ~~kurwidolek~~ fanzin. Poredaktorzyłem jako naczelny przez 3 numery i podjęliśmy wspólną decyzję, że lepiej będzie, jak zrezygnuję z tego stanowiska i zostanę zwykłym redaktorem, a na moje miejsce wejdzie Macter. I tak to się ciągnie od x lat, naczelni się zmieniają, ludzie odchodzą i wracają, nawet jako tylko gościnni, a sam dalej mam kontakt z redakcją przez konfę jako redaktor gościnny, bo już nie miałem siły na pisanie jako normalny i, szczerze mówiąc, po tylu latach, ochoty.

Co mogę powiedzieć o tych zgredach, z którymi tu siedzę? Cahan się wydaje, że nas bije biczem i szczuje do pisania artykułów, a nie zauważyła jeszcze, że część redakcji lubi takie zabawy, Solaris dalej prowadzi wojnę bolszewicką z artykułami i gra badziewnie w Doto. I kradnie menda za bójstwa i farmę na creepach. Moonlight, która została wice, ponieważ Cahan lubi krzywdzić niewinne osoby, próbuje swoich sił w artykułach/grafikach do gier/grafikach do numerów/wychowaniu Żelki/staniu na głowie i klaskaniu uszami. Ghattorr dalej próbuje zdobyć serce Cahan i udaje, że wie, jak tworzyć gry. Souls wrócił jak syn



marnotrawny i myśli, że potrafi przeprowadzać korektę. Mid jest. Gray, Porcelanka, Madzia i Victoria niby też są, ale trzeba je czasem szturchnąć kijem, aby upewnić się, czy w ogóle żyją, albo czy zaczęły już gnić im truchła. Doszedł Catkitty, który jest bystry jak woda w klozecie i Teo, który prowadzi wykłady z coachingu. Macter i Sosna stykają się myszkami w trakcie pracy w DTP. Cold marzy o życiu w Singapurze, a Malv jest redaktorem Schroedingera – niby jest, ale go nie ma. I oto jestem – wspaniały, creepy, leniwy, prowadzący seanse z cudownych filmów – ja. Zabijcie mnie.



Nie powiem, jest wesoło, chociaż niektórzy nie do końca łapią jeszcze satyrę, ale jednego jestem pewien. Nie zamieniłbym tej redakcji na inną, bo byłoby zbyt nudno. Ale serio, zabijcie mnie i ukróćcie moje cierpienia, mam dość.

Macter4

Kiedy Dolar napisał do mnie z pytaniem, czy byłbym zainteresowany składem nowego czasopisma MANEzette, nie sądziłem, że tak rozpocznie się moja 7-letnia (z przerwami) przygoda z pracą, o której na start nie miałem większego pojęcia.

Początki były dość wyboiste, bo nie tylko człowiek opanowywał nową sztukę, ale także zapoznawał się z konkretnym schematem pracy, jaki wyniosła reszta redakcji z Brohoofa. No i okazało się, że nie do końca pokrywa się on z tym, co jest potrzebne DTP (bo funkcjonowało zupełnie odmiennie od Brohoofa), więc na szybko trzeba było wypracować nowe schematy. Ogólnie co numer była jakaś mała rewolucja po stronie technicznej. I gdy już udało się coś wypracować, jaki taki tryb pracy, przyszła informacja o tym, że będą rozmowy w sprawie połączenia z Brohoofem. I jak Cahan może mówić o byciu jedną z Matek Założycielek, tak ja mogę się określać szarą eminencją od techniki.

Przerwa między ostatnimi numerami Brohoofa i MANEzette a pierwszym Equestria Times, była dużo dłuższa, niż pierwotnie planowaliśmy, i to

właśnie przez DTP. Nowe czasopismo wymagało zaprojektowania na nowo wyglądu, jednocześnie próbując połączyć to, co funkcjonowało w tamtych dwóch światach. Nazwa pliku doskonale oddawała to, co otrzymaliśmy – tragedia.pdf. Dopiero w okolicy 42. wersji powstał wzór, który z delikatnymi zmianami funkcjonuje do dziś.

Po kilku numerach, tak jak wspomina M.C., otrzymałem rolę redaktora naczelnego. Były to ciekawe czasy, gdyż istniało dwóch naczelnych (Dolar posiadał tę funkcję od narodzin czasopisma aż do momentu swojego odejścia ze stałego składu) i dwóch zastępców. Jeżeli ktoś myśli, że nie da się kierować pracą, kiedy jest dwóch szefów, to spieszę donieść, że nie mieliśmy z tym najmniejszych problemów. Duża zasługa ma tutaj organizacja całości, która tak jak było wspomинane, zawsze bardziej przypominała demokrację niż dyktaturę. Co do samej fuchy, to jaki ciężki jest to chleb, pisała Cahan (którą swego czasu też mianowałem na moją wicenaczelną), więc nie będę się powtarzał. I tak to się życie fandomowe toczyło, aż do czasu, gdy to moje prywatne się nie wykorbiło. Wtedy też podjąłem decyzję, której do tej pory żałuję, bo zamiast szczerze spojrzeć na problemy, łudziłem się, że są one tylko przejściowe i dam radę wszystko ogarnąć. A sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Numery zaczęły wychodzić rzadziej niż raz na kwartał, a niektóre teksty czekały prawie pół roku na publikację. Ostatecznie, kiedy przekazywałem

Cahan funkcję naczelnego, oddawałem redakcję i czasopismo w dużo gorszym stanie, niż gdy zostały mi one powierzone. A wystarczyło tylko w porę zauważyć, że mój czas minął, a historia zapewne potoczyłaby się inaczej.

Potem życie biegło swoim torem, a ja byłem bardziej nieobecny niż obecny w redakcji. Aż nastał moment, kiedy musiałem wszystko odwieść na haczyk (nie tylko ET) i spiąć cztery litery, by w końcu pozamykać niektóre życiowe rozdziały i nie być zawieszonym w próżni. Kiedy się to udało, w lipcu zeszłego roku wróciłem na normalny „pełny” etat w DTP.

Z perspektywy czasu pierwsze, co zawsze wspominam z tej przygody, to ludzie. Zarówno obecni, jak i ci, którzy odeszli, bo to oni są tak naprawdę motywacją, że człowiek chce coś zrobić, a nawet wracać do tego po przerwach. To, co się z nimi przeżyło, czy to w świecie wirtualnym, czy w realnym, to moje osobiste doświadczenia, których nikt mi nie odbierze. Kolejna rzecz to możliwość „pracy” w fandomie. Przyjemnie jest spojrzeć, że dorzuciło się jakąś cegiełkę do jego historii. Człowiek cieszy się, że też mógł wprowadzić pewne zmiany w samej pracy pisma. Jako swój największy sukces, z czasów gdy byłem naczelnym, uznałbym to, że udało mi się przemigrować organizację pracy redakcji ze wspólnego dokumentu Google na Trello, co nie było ani proste, ani skazane na sukces.

Ostatni wątek, który chciałbym poruszyć, to już sam skład i praca z ludźmi. Przez większość czasu pełniłem nieformalną funkcję szefa działu technicznego. Pozwoliło mi to rozwinąć się jako człowiekowi w kierunkach, których kiedyś nawet sobie nie wyobrażałem. Oczywiście, wiąże się też to z obowiązkami i odpowiedzialnością, a nie zawsze wszystko idzie bezproblemowo. Jeżeli ktoś szukałby winnych opóźnień wydań przez te wszystkie lata, to proponuję próbować namierzyć mnie na ewentualne kamieniowanie, a nie Cahan. Sumarycznie to dział DTP, w tym głównie ja, mamy najwięcej na sumieniu. Ale by takim smutnym tonem nie kończyć, mogę powiedzieć, że udało się zrealizować wiele dobrych pomysłów, zatem ostatecznie, nawet błędne decyzje łatwiej odżalować, kiedy ostatecznie wychodzi się na plus.

Na koniec mała autoreklama działu. Jak to Cahan wspomniała w przedmowie, DTP stanowi jeden z 3 głównych filarów magazynu. To właśnie tutaj teksty oddane przez redaktorów zmieniają się ze

zwykłych kartek A4 z tekstem przypominającym szkolną rozprawkę w coś, czemu bliżej wyglądem do normalnego, drukowanego czasopisma. Wydaje się to sztuką tajemną, lecz nic bardziej mylnego, czego sam jestem przykładem. To, co było, jest i zapewne będzie bolączką tego działu, to ilość rąk do pracy. Jeżeli jesteś zatem zainteresowany udzielaniem się jako członek redakcji, ale nie jesteś w stanie załapać się na inne stanowiska, serdecznie zapraszamy do składu. Mile widziane będą pewne umiejętności artystyczno-techniczne, ale i bez nich można dać radę. Potrzebną wiedzę i umiejętności, a także wdrożenie, będzie można odbyć w postaci szkolenia (łącznie może z 3h), a potem już tylko ćwiczenia, poprzez realny skład magazynu.

Magda B, nie mylić z Madzią

Henlo, komuś musi się bardzo nudzić, jeżeli dobrnął do tej części artykułu. Dlatego ja Was tu na moment zostawię, żebym mogła w spokoju sprawdzić, kiedy przywiało mnie do tego fanzinu. Data założenia konta na Trello twierdzi, że było to wakacyjną porą 2017 roku. Nie będę się kłócić, bo nie pamiętam. W sumie, wszystko przed erą konfy discordowej to dla mnie czarna plama pełna strachu o posadę z gilotyną deadline’ową nad głową. Deadline będzie kluczowym słowem, zapamiętajcie je.

Nie wiem, jak wpadłam na ten postrzelony pomysł, żeby dołączyć do redakcji. To był chyba kryzys egzystencjalny albo jakie inne lichy. Od początku jednak chciałam stanowisko korektora. Generalnie drzemie we mnie upierdliwe Grammar Nazi, więc stwierdziłam, że czemu nie, skoro szukają kogoś do pracy. Nie sądziłam wtedy, że wchodzę do miejsca, z którego nie ma już wyjścia (chyba, że Cahan mocno rzuci danym delikwentem, ale przez kostnicę to żadne wyjście) i to właśnie jest ogromnym plusem ET. Konto na Trello – spoko, zaglądnij na forum – jasne, konfa na GG – opcjonalnie, zatem mój patologiczny mózg stwierdził, że on się socjalizować nie musi. Jakże sobie pluję do dzisiaj w brodę, ale tylko z jednego powodu. Deadline. Mój początek to koszmar, bo nie ogarniałam w swoją robotę tak bardzo, że do dzisiaj nie wiem, czy pierwsze korekty zrobiłam, czy poszły do magazynu z połową korekty (w trakcie, kiedy dołączałam do zespołu i trochę później działał system dwóch różnych korekt na 1 artykuł). No i tak, było to po deadline’ie. Tak oto rozpoczęła się moja Klątwa Korektora, która przy każdorazowym wejściu w czas korekty aktywuje koszmary o Cahan wyzerającej jedzenie z lodówki

i jej zebrzej głowie we wszelkich szafkach mówiącej: „A korekty, Pierozku, to się same zrobią?”. Objawy nasilają się po przekroczeniu magicznej śmiertelnej linii, nie polecam. Dobrze, że nie jestem jedynym korektorem, bo do reszty bym ześwirowała.

Robienie korekt jest śmieszne. Zaczynasz od rosyjskiej ruletki. Dostajesz artykuły i nigdy nie wiesz, na co trafisz (chyba, że ładnie wyłęgasz, to coś tam z upatrzonych potów i łez redaktorów Ci przypadnie). Artykuł o rysowaniu, jakaś recenzja ficzka, tortury dla oczu, całkiem przyjemny tekst, który i tak pójdzie do przerwutów – nikt tego nie wie. Decyduje humor wicenaczelnego, który przydziela artykuły (Solaris).

Potem nastaje pora na znalezienie odpowiedniej chwili na korektę. Polecam 2 godziny przed deadline’em, z perspektywą sprawdzania tekstów, które zajmują normalnie 3-4 godziny. Motywacja gwarantowana, ale i możliwe zostawienie „byków” lub ich stworzenie. Ale zaufajcie mi, każdemu się zdarza przeoczyć błąd. Niektórym tylko rzadziej ode mnie, ale to chyba już czas na okulary i tyle.

Przechodzimy zatem do samej korekty. Co tam się może wydarzyć, to ani ludzkie oko nie widziało, ani nikt inny tych krzyków z piwnicy nie słyszał. Czasem ledwo przecinek od siebie dorzucisz, czasem nawet popracujesz, a jak byłeś niegrzecznym korektorem, to dostajesz artykuł, który po sprawdzeniu równie dobrze mógłby być twojego autorstwa. Ja zawsze łapię się na tym, że bardziej czytam artykuły, niż je sprawdzam. One naprawdę nadają się do czytania, zaczynacie od kilku pierwszych słów, by po chwili znaleźć się na końcu tekstu i krzyknąć, że jest on za krótki. I że przez to wszystko korekta nie jest zrobiona, więc trzeba czytać od nowa. Czy to tylko ja krzyczę?

Jeżeli myśleliście, że to koniec korekty, to się grubo mylicie, przed nami ostatnia prosta festiwalu śmiechu. Odhaczenie korekty na Trello, przejrzanie czasopisma po składzie, a na koniec i tak czytasz o swoich błędach w jedynych komentarzach do numeru. Kurtyna. Pojedynczy psychopatyczny śmiech z końca sali.

Muszę jeszcze wspomnieć o relacjach (które trzeba byłoby najpierw posiadać) z innymi członkami redakcji. Po powstaniu Discorda redakcyjnego zaczęłam ogarniać, co się dzieje,

kto jest kim i dlaczego wszyscy stanowimy grupę zdrowego popierniczenia umysłowego (Discord mi pasował dużo bardziej niż GG, bo z Discorda korzystam, od kiedy w zasadzie powstał, GG kojarzy mi się tylko z pięćdziesięcioletnimi zbokami, przepraszam). Mimo to nadal nie posiadam głębszych relacji redakcyjnych, ale prędzej dałabym się poćwiartować, niż pozwoliła komukolwiek wyprowadzić mnie z tej gromadki. Lubię czytać, o czym rozmawiają, pośmiać się zza ściany w pokoju obok oraz od święta coś napisać, żeby wiedzieli, że ktoś taki jak ja żyje i – niestety – ma się dobrze. Zdradzę wam jednak protip: najbardziej znam tych, których teksty sprawdzam, bo każdy ich artykuł to cząstka ich duszy... charakteru!

Polecam meety redakcyjne, można przyjemnie spędzić czas, karmić dobrym mięskiem i pozwalają spać na oparciu kanapy jak kot (podczas gdy Cahan zajmuje jej resztę, naczelną z krwi i kości). Nie polecam natomiast nazywać mnie Madzią, ani czytać moich wycopin, ale na to chyba za późno. A ja skończyłam tekst na 5 minut przed „deadline’em”, wyjątkowo nie-za-późno! Przecinki w dobrych miejscach stawiane niechaj zawsze będą z Wami.





Pinkie.exe

Wyobrażałeś sobie kiedyś moment, w którym znajdziesz swoją ulubioną kucykową grę z dzieciństwa, w którą nie grałeś od 10 lat? Patrzysz na pudełko – jest! Płyta jest! Jeden problem: nie masz napędu w komputerze... No nic, to lecimy do wujka Google.com – wpisujesz „Gra Pinkie Pie pieczemy ciasto” czy coś w tym rodzaju. Jest! www.complentlynoscamwebsite.hack Strona nieco dziwna, jak z 2006 roku. Eeee, co tam! – mówisz sobie – ważne, że pobieranie działa. Ooooo, czyżby edycja rozszerzona? Gra zajmuje trochę więcej, niż przypuszczałeś. Kawka na stole gotowa, śniadanko też, aż w końcu pobieranie przez tego starego rżęcha również się zakończyło i gra jest gotowa do uruchomienia. Pinkie.exe... wzdychasz... Ile to już czasu! Bez namysłu klikasz na uśmiechniętą twarzączkę różowej klaczy.

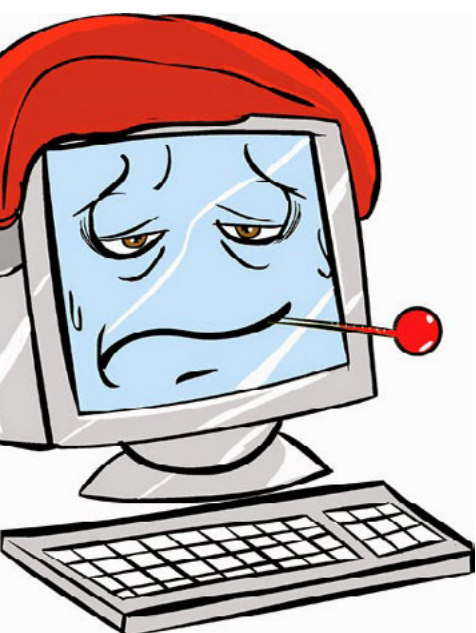
» Teo

W tej samej chwili, kiedy klikasz ikonę gry, w Twoim komputerze właśnie pewien mały różowy kucyk popchnął pierwszą płytkę domina... na szczęście jest jeszcze ostatnia deska ratunku dla Twoich „okienek”. System pyta, czy jesteś pewny co do uruchomienia tego programu. Może w końcu wyrządzić jakieś tam szkody, bla, bla, bla. NO BA, Panie Komputer! Przecież właśnie dlatego otwieram tę grę. Z Twojego punktu widzenia wszystko przebiega zupełnie normalnie, żadnych zacięć czy lagów, wszystkie przygody Twojej ulubionej klaczy

wychodzą Ci w sumie nawet lepiej niż ostatnio. Nabrałem skilla! – myślisz sobie. Pomijając 10 zmarnowanych lat przy komputerze, w końcu masz niesamowite umiejętności klikania w myszkę i klawiaturę. Myślisz, że się opłacyły. To Twój szczęśliwy dzień. A co w tym samym czasie robi nasz wesoły imprezowy kucyk? Niby niewiele, ale wcześniej zaszyfrowany i ukryty imprezowy kod przypięty do programu właśnie zaczął się rozszyfrowywać i uruchamiać, dopisując zaledwie kilka linijek kodu.

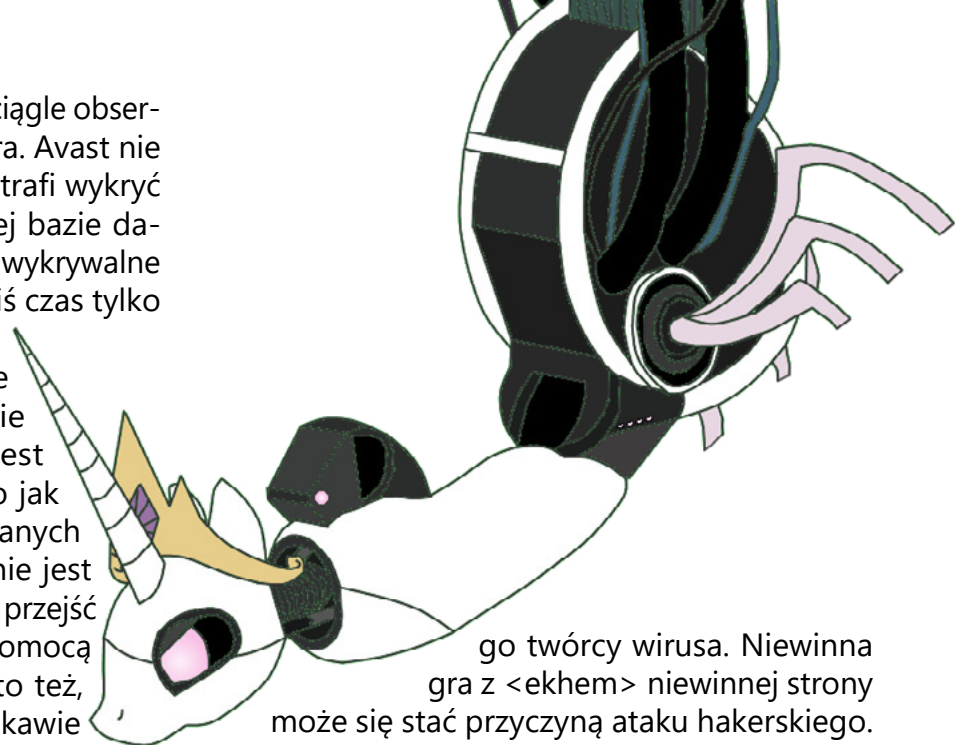
Te parę linijek to pierwszy etap rozkręcania wirtualnej zabawy. Pinkie Pie znajduje właśnie swoje własne powielające jeziorko z opowiadań babci (dokładnie tak jak w odcinku „Wszędzie Pinkie Pie”). A WIRUS? Wirus właśnie rozpoczął swoje powielanie. Na początek powoli. Tylko jeden dodatkowy wpis do jakiegoś pliku w folderze obok. Pinkie musi być uważna, bardzo uważna. Nie może sobie pozwolić na nawet najmniejszy błąd. Jest obserwowana nie tylko przez użytkownika komputera. Wojna w cyberprzestrzeni jest prawdziwym wyścigiem zbrojeń. Właśnie w Twoim komputerze dwie siostry – Księżniczka Avast i Księżniczka Defender – przygotowują kolejne plany przewyciężenia niechcianych podmieńców. Znają je bardzo dobrze i są przygotowane do ataku w każdym możliwym momencie. Aktualnie są jednak zajęte blokowaniem Twoich cracków do spiraconych gier z torrentowej przystani. Nie mówiąc już o tym, że Windows Defender bardziej przeszkadza, niż chroni ogólnie... Zatem infekcja już za nami. Czas na różową replikację etap drugi imprezy.

Czujne oko księżniczki Avast AntiPony ciągle obserwuje każdy najmniejszy kąt komputera. Avast nie da rady wykryć tego wirusa, Avast potrafi wykryć tylko te wirusy, które ma już w swojej bazie danych. Tylko takie, które mają podobne wykrywalne elementy do tych już znanych. Co jakiś czas tylko otrzymuje listy od swoich powierniczek, śledzących nowe kucowirusy. Może to dawać Ci jedynie złudne poczucie bezpieczeństwa. Wirus Pinkie.exe jest zupełnie nowym kucykiem, tak samo jak 100 innych nowych złośliwców wysyłanych w sieć w każdej minucie. Pinkie.exe nie jest też idealna, w końcu nie potrafi jeszcze przejść poza granice swojego komputera za pomocą pendrive'ów. Oczywiście nie znaczy to też, że jest bezpieczna. Ma inne asy w rękawie – wyjątkową niestabilność, mutacje, nieograniczone możliwości zainfekowania nowych plików oraz rozmnażanie za pomocą Internetu. Na razie nie wiemy, co wesoły kucyk potrafi nam nabroić w komputerze, jego licznik podziałów nie wybił jeszcze wymaganej liczby Pinkie-klonów do aktywacji destrukcyjno-impreszowych linii kodu wirusa. Pinkus do tej pory „ukradł” nam zaledwie kilka kilobajtów pamięci z komputera i procent mocy obliczeniowej procesora.



Przypominam, że minęło dopiero siedem minut. Po czterdziestu minutach TY, główny bohaterze, będziesz już bezbronny. Pinkie przejmie kontrolę nad Twoim komputerem, a Tobie pozostanie jedynie wyczyścić do zera wszystkie swoje dyski. 300 gigabajtów kucyków zostało nadpisanych magią przyjaźni przez różowego łobuza.

Wszyscy wiemy o zagrożeniach w sieci; na całym świecie każdego dnia dochodzi do dziesiątek tysięcy cyfrowych ataków na infrastrukturę państw, firm, znanych polityków i przede wszystkim na nas. Większość z nas nie docenia Pinkusia, jednak ten niewielki impreszowy wirus w mgnieniu oka może powielić swoją ilość, gdyż jego przyrost w komputerze jest geometryczny. A jego skutki mogą być nieprzewidywalne nawet dla same-



go twórcy wirusa. Niewinna gra z <ekhem> niewinnej strony może się stać przyczyną ataku hakerskiego.

To właśnie okazja czyni złodzieja. Hakerzy nie są wesołymi kucykami szerzącymi magię przyjaźni. Przypominają bardziej chaotycznego Discorda. Ich głównym celem jest przede wszystkim zysk – przez kradzież danych osobowych lub środków z konta bankowego, wykorzystanie naszego komputera jako prywatną kopalnię kryptowalut itp. Są też oczywiście dużo bardziej wyrafinowane ataki, m.in. wymuszanie okupu w zamian za krępujące zdjęcia z kamerki internetowej lub odszyfrowanie dysku. Cybernapastnicy możliwości mają wiele, a my, zwykli użytkownicy, tylko jedną linię obrony. Zanim jeszcze ją zdradzę, nawiążę do aktualnych wydarzeń ze świata. Kiedy to piszę, 06.04.2020 r., na świecie śmiertelne żniwo zbiera pandemia nowego koronawirusa, wywołującego chorobę COVID-19. Wiele ludzi przeszło właśnie na pracę zdalną za pośrednictwem Internetu. Wiele z nich to też osoby starsze, które mają największe problemy z posługiwaniem się komputerem i Internetem. To właśnie oni są najbardziej narażeni na ataki hakerskie. Tak samo, jak możemy wygrać z pandemią, myjąc ręczki, unikając kontaktów z innymi czy odcinając chorych od reszty, możemy wygrać również z wirusami komputerowymi. Do obu rodzajów ataków (cybernetycznych i zdrowotnych) sprowadza się jedno zagadnienie – zapobieganie. Tylko zdrowy rozsądek i zapobieganie pozwoli nam się uchronić przed atakami. Wojna z wirusami prędko się nie skończy. Zatem myjcie ręczki, uważajcie w sieci i jedzcie zdrowo, a przede wszystkim zachowajcie trzeźwy umysł. Pisał do Was Teo, pozdrawiam serdecznie.



Nauki płynące z serialu: Sezon dziewiąty

Morały dobre i złe

To już koniec serii, którą zaczęłam pisać wiele numerów temu, co z jednej strony bardzo mnie cieszy, bo to jedne z najbardziej czasochłonnych artykułów, jakie kiedykolwiek tworzyłam, a z drugiej... O czym ja teraz będę z Wami rozmawiać? Serial się skończył, a na generację piątą jeszcze trochę poczekamy. Nie wiem też, czy ona w ogóle okaże się strawna. Oczywiście, mogłabym przedstawiać inne dzieła popkultury i tłumaczyć Wam, czemu Pontyfik Sukin... Sulyvahn did nothing wrong, ale jednak jesteśmy kucykowym fanzinem.

» *Cahan*

The Beginning of the End

Grogar wrócił do gry (albo i nie) i przed wyruszeniem w drogę zebrał drużynę złoczyńców. Crazy Glue, Tarek, Królowa Christmas oraz król Sombrero mieli się zjednoczyć i naklepać Mane 6, Starlight oraz tym liczącym się księżniczkom. Ale król Sombra uznał, że nie będzie mu jakiś baran rozkazywał i postanowił działać na własne kopyto. Oczywiście, bronies uznali, że to głupie i w ogóle, aleee...

Sombrze się udało. Poza tym pogodzenie interesów wszystkich złoczyńców było niemożliwe. Każdy z nich pragnął zemsty, ale cała reszta doprowadziłaby do konfliktu. Sombra pragnie niewolników, Tirek drenażu siły, Chrysalis miłości i władzy, a Cozy Glow również władzy, ale połączonej z uwielbieniem. Jeśli Tirek wysysie energię z kucyków, to

pozostali nie osiągną celu, bo Equestrianie staną się dla nich bezużyteczni. Niewolnicy Sombry nie dostarczą miłości dla złych podmieńców. No i poddani żadnego ze złoczyńców nie nadadzą się na materiał dla Cozy.

Ale król w końcu poległ, ponieważ, nawet bez Drzewa Harmonii, tęczowe lasery zagłady wciąż działały. No i był jeszcze Discord, który w sumie też jest niepokonany – nie licząc tęczowych laserów i drenażu magii atakiem z zaskoczenia. I to jest problem tego serialu, a nie morału odcinka – że czasami tylko wspólnymi siłami możemy wygrać. Że przyjaźń wszystko pokona, blablabla. Powiem tak, Panowie z Hasbro, pokażcie mi lasery przyjaźni w prawdziwym życiu. I takie chamskie deus ex machina.

Uprooted

Odcinek o żałobie, zmianach w życiu i przemianach. Nawet go lubię, bo miał spoko piosenkę, no i dobrze się ogląda Young Six. Ale nie jestem pewna, jaką naukę próbowano tu przekazać. Że należy pielęgnować wspomnienia i więzi o tym, co przeminęło i że przyjdzie nowe? Oczywiście Jasiu, zdechł ci pies, ale nie martw się, na jego miejscu wyrośnie drugi. Nie porównam Drzewa Harmonii do rośliny czy przedmiotu, ponieważ ono mówiło. Miało osobowość. Młoda szóstka to bajkowa wersja ludzi, którzy wybierają nagrobek dla znajomego i się kłócą, czy posadzić mu drzewo, czy wybudować mauzoleum. I nagle to wszystko brzmi poważniej.

Sparkle's Seven

Jeden z odcinków robionych po to, by były „zabawne”. I to jeden z tych, które mnie zupełnie nie porwały. Książniczki postanowiły podnieść poziom zabezpieczeń w zamku i dlatego Celestia wynajęła Shining Armora, który postanowił użyć Twilight w roli testerki, a przy okazji wrócić do ich rywalizacji z dzieciństwa. Lunie się to nie spodobało i trudno jej się dziwić – podwójne strażę (kto to opłaci?), wiatraki (nie mają tam żadnego konserwatora zabytków ani specja od architektury krajobrazu), zapadnia (podejrzewam, że głównie obie siostry by w nią wpadły) oraz obesrań... gęsi. Brzmi wprost cudownie. A i jeszcze przejścia dostępne tylko dla gwardii. Nie oszukujmy się, te zabezpieczenia by tak uprzykrzyły życie mieszkańcom zamku, że zniesiono by je po tygodniu.

Potem Twilight zaczęła snuć swój cudny plan jak blondi z mema, ale Rarity wymyśliła własny. I udało by się, gdyby nie Spike oraz Fluttershy, która wpadła w zapadnię jak ostatnia niedojda. Dlatego wrócono do przewidywalnych zamierzeń Twałota, które nawet się udały. Ale koronę wygrał Spike. A morał jest prosty i niektórym znany: nie olewaj młodszego rodzeństwa, bo zostaniesz wykiwany.

Co o tym sędzę? Że wykonanie mogło być lepsze, zawierać więcej retrospekcji oraz bardziej skupiać się na gekonie. No i same zawody mogły być mniej głupie, a wątek Celestii i Luny bardziej pociągnięty, bo w zasadzie trudno powiedzieć, czemu one się ze sobą nie zgadzają.



The Point of No Return

Twilight zapomniała oddać książkę do biblioteki i aż za bardzo to przeżywa, ponieważ oznacza to wywalenie z biblioteki jej portretu i tytułu najlepszej czytelniczki. Ale w końcu zbiera się w sobie i idzie do gmachu, a przy okazji odkrywa, że stara bibliotekarka już tam nie pracuje, ponieważ Twi nie oddała książki, a przez to zniszczyła starej klaczy jej perfekcyjny wynik – zero opóźnień i zaginionych pozycji.

Dlatego alikorn postanowiła szukać niejakiej Dusty Pages po całej Equestrii i naprawić swój błąd. W końcu ją znalazła – szczęśliwą w domu spokojnej starości. I nauczyliśmy się, że perfekcja nie istnieje i nie jest celem samym w sobie, za to odciąga nas od radości i szczęścia nieperfekcyjnego życia. Zgadza się z tym w zupełności, tylko czemu w Equestrii ocenia się bibliotekarki za rzeczy, które od nich nie zależą?

Common Ground

Kibel Majty (a właściwie Sprane Gacie) ma dziewczynę, która ma wkurzającą córkę, która ma boisko do buckballu zamiast mózgu i nie chce go zaakceptować. Tęczówka próbuje mu pomóc poprzez usportowienie oraz organizację spotkania z idolami młodej. Niestety, ale wszystko na nic, bo Quibble Pants to typ, który dostaje zadyszki po 10 sekundach biegu, a piłkę widział najwyżej na obrazku w książce. A co to za ojczym, który nie lubi sportu?! No do kitu, nie nadaje się, matka powinna wyrwać jakiegoś Wonderbolta albo chociaż Braeburna. Oczywiście, w końcu Quibble dogadał się z młodą, imponując jej wiedzą teoretyczną o buckballu, którą znalazł w książce. Cudownie!

Odcinek próbuje nam wmówić, że powinniśmy znaleźć wspólny język z nowym partnerem jednego z rodziców (lub z dzieckiem dziewczyny/chłopaka), bo bez tego się nie uda. Problem w tym, że co by się stało, gdyby smarkuli nie spodobało się, że Gacie zna zasady i statystyki jakiejś głupiej gry? Facet starał się jak mało kto i sędzę, że będzie dobrym ojczymem, ale młoda miałaby to w nosie, bo nie lubi sportu. Ale lubi książki, więc na pewno książka o sporcie by mu podeszła... Otóż nie!

Problemem MLP: FiM dość często są postacie, które opierają się na kilku cechach. I interesują je może trzy rzeczy – w porywach. Ale Wind Sprint (tak, w końcu wygooglowałam jej imię) lubi sport

i najwyraźniej nic innego się dla niej nie liczy. Jej problemem nie było to, że jej matka kręci z jakimś ogierem czy że ten ogier zachowuje się w stosunku do niej jak dupek. Nie, nie jest wysportowany jak tatuś, więc się nie nadaje.

W efekcie otrzymaliśmy odcinek z niezłym morałem, ale toksycznym jego przedstawieniem. Uważam, że lepiej by było, gdyby więź między Quibble'em a Spirit narodziła się na innej wspólnej płaszczyźnie. Albo nawet pomimo jej braku. Ale do tego celu należałoby wykreować postać, która lubi więcej niż jedną rzecz. Albo pokazać, że zainteresowanie i troska są czasem ważniejsze niż wspólne hobby i wyrobione mięśnie.

She's All Yak

BĄDŹ SOBĄ – EDYCJA PIĘCDZIESIĄTA TRZECIA! Nienawidzę tego morału, naprawdę. Ale lubię ten odcinek, bo ma fajną piosenkę i bohaterów, których lubię. Oraz dość niespodziewany shipping. Znaczący, już w pierwszym odcinku ze Szkołą Przyjaźni Sandbar bronił Yony przed Gallusem, ale wtedy to było takie zupełnie niewinne. A tu ewidentnie na nią leci. O gustach się nie dyskutuje, ale Yona to śmierdząca krowa. I to dosłownie, nie obrażam jej. Yona jest prosta, mówi w taki sposób, jak stereotypowy Murzyn z filmów z czasów, kiedy rasizm kwitł jak sad na wiosnę. Ale jednocześnie często jest tą, przez którą przemawia życiowa mądrość. Ale i tak... Niech Sandbar się lepiej modli, by jego dziewczyna nie rzuciła mu się nigdy na szyję.

Wracając do tematu, Sandbard zaprosił Yonę jako swoją partnerkę na tradycyjną kucykową imprezę organizowaną w Szkole Przyjaźni. Jaczka nie chciała przynieść mu wstydu, więc poszła na korki do Rarity i reszty Mane Six, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że jest z innej kultury i dość mocno odstaje. I chciała się dostosować! I wszystko by się udało, gdyby nie to, że kiecka była za długa, a peruka opadała na oczy. Tak, skończyło się rozróbą i morałem, że jesteś super taka, jaka jesteś, a tradycyjne tańce jaków to jest to!

Tylko że nie. Tradycyjne tańce jaków to niekoniecznie coś, co powinno się odbywać na tradycyjnej kucykowej imprezie. A kultura Yakyakistańczyków opiera się głównie na demolce oraz smrodzie. Imigranci powinni się asymilować i dostosowywać się do kultury swojej „nowej ojczyzny”, a nie nie myć się i robić swoje, bo **BĄDŹ SOBĄ!** Poza tym ona

uczyła się brać kąpiel, tańczyć i przygotowywać jedzenie, które nie sprawi, że wszyscy inni padną trupem. Toż to gwałt kulturowy!

MLP: FiM w tym odcinku próbowało przepchnąć morał, że jeśli twoja kultura zakłada bycie brudaszem, demolką oraz proste, plemienne stroje etc., to jeśli idziesz na przyjęcie, to zdecydowanie nie powinieneś np. wbić się w strój wieczorowy. Bo to przecież takie zabawne, ha ha... Z tym, że nie. Czy jeśli zapraszasz na bankiet kogoś, kto urodził się jako buszmen i żył przez większość życia w takich warunkach, ale od dłuższego czasu mieszka w Europie, to uważasz, że powinien przyjść w tradycyjnym stroju i wykonywać swoje plemienne tańce? Jedno i drugie ma swoją wartość, tylko niekoniecznie pasuje do okazji.



Frenemies

Wielki powrót drużyny złoczyńców. Tym razem odkrywają, że współpraca przynosi korzyści, a Chrysalis boi się, że od przyjaźni zmieni się w tęczowego żuczka. Ale prawdziwa mądrość kryje się gdzie indziej – jeśli podejrzewasz szefa o nieczne zamiary wobec ciebie, to lepiej miej na niego haka. Uczcie się życia, drogie dzieci!

Sweet and Smoky

Czy wszystkie nowoczesne seriale animowane dla dzieci muszą iść tym samym tropem? Młodziacy dręczyciel, który tak naprawdę nie jest zły, tylko sobie coś rekompensuje. W Gravity Falls była to Pacyfika, w The Owl House jest Amity, a w MLP tę rolę pełniła już Diamond Tiara. Ale to już ostatni sezon, więc trzeba nawrócić Garble'a! Wiecie, jaki mam z tym problem? Że brakuje mi bohatera, który jest nastoletnim dupkiem, bo po prostu jest dupkiem. Nikt go nie dręczy, nie musi ukrywać swojej wrażliwej strony – jeśli jakas ma, bo wbrew pozorom jej posiadanie nie sprawia, że ktoś jest dobrym człowiekiem. Przypominam, że

niejaki Adolf Hitler kochał zwierzęta oraz malarstwo. Oczywiście, znęcanie się nad innymi za młodu nie robi z nikogo drugiego austriackiego akwarelisty. To dość częste zjawisko i pewnie wielu z Was to czasami robiło, nawet jeśli niekoniecznie zdajecie sobie z tego sprawę.

Najczęściej ludzie z tego wyrastają, a potem jest im głupio, że byli takimi małymi debilami. Albo uważają, że to były tylko niewinne żarty i co z tego, że Marta z 2A płakała po nocach, bo się śmiałyście, że jest gruba – przy BMI 18, bo durnota młodocianych dręczycieli nie zna granic. Sądzę, że tak powinna zakończyć się historia czerwonego smoka – Garble mógłby z tego wyrosnąć. Przecież on dręczy gekona, który jest od niego młodszy przynajmniej o 5 lat! Popisuje się przed kolegami oraz ma podły charakter i uznaje, że to takie zabawne, bo przecież Spike jest dziwny!

No, ale Smolder twierdzi, że jest wrażliwy, a do tego gra na kamieniach i tworzy bardzo słabe rapsy! To czyni z niego Hitl... dobrego smoka! Ta-aaak. A teraz powiedz tej biednej Marcie z 2A, że prowodyr, który wymyślił, że dziewczynka nadaje się na ofiarę, to po szkole gra na skrzypcach i nie chce, by koledzy się dowiedzieli, bo uważają, że to lamerskie! Na pewno Marta poczuje się lepiej. A dręczyciel, niejaki Mateusz lat 8 w końcu zrozumie, że dręczenie Marty jest złe, bo Marta się z niego nie śmiała, a jego koledzy tak, kiedy się dowiedzieli, że gra na skrzypcach.

Wiecie, czemu to zły morał? Bo tak by się nie stało! Koledzy pośmialiby się przez chwilę, a potem wróciliby do gnojenia Marty. Albo Mateusz nie grałby na skrzypcach, tylko robił same rzeczy uznawane w jego środowisku za spoko hobby. A Garble'a nikt nie gnoił (a przynajmniej serial o tym nie mówił), a jego rodzina chyba nawet go kocha. Także tak, Garble jest tym Mateuszem.

Going to Seed

Święty Mikołaj, Wróżka Zębuszka i Wielki Siewczy? Co mają ze sobą wspólnego? Wiele. Po pierwsze wierzą w nie dzieci i zostawiają prezenty za coś. No i są nieuchwytni. I nie istnieją. Znaczący, ten ostatni może i tak, przynajmniej w uniwersum MLP. Ale ich rolą jest co innego – karmić dziecięce marzenia, rozbudzać wyobraźnię oraz dodawać magii życiu. Sama akurat nigdy nie wierzyłam w takie rzeczy, ale i tak lubiłam atmosferę z tym związaną.

Tymczasem Applejack początkowo uważa, że Apple Bloom jest już za duża na takie bzdury i powinna tylko „Praca, praca, praca. Ja nie być taki koń!”. Ale później budzi się w niej duch łowów i dołącza do swojej młodszej siostry. No i łapią... Big Maca podczas lunatykowania. A także nieco zabawy.

Morał płynie z tego taki, że takie rzeczy są dobre, bo niosą ze sobą radość. Święty Mikołaj nie musi być dziadkiem z reklamy Coca Coli, żeby sprawić, że jakieś dziecko poczuje się lepiej. Chyba że miało pecha i żyje w patologicznej rodzinie. Wtedy zamiast prezentów dostanie traumę i bagaż złych doświadczeń.



Student Counsel

Nawet nie wiem, co tu próbowano przekazać. Starlight się przepracowuje i nie ma czasu dla przyjaciół, bo wszyscy uczniowie nagle mają mnóstwo problemów, które muszą z nią przegadać. W tym Silverstream, która najwyraźniej się nudzi i nie ma nic innego do roboty, bo sady takie pierdoły, że podziwiam Starlight, że nie otworzyła GUŁagu dla takich jak hipogryfka.

No, ale w końcu Starlight stwierdziła, że ma dość brania nadgodzin, bo jest potrzebna i że czas zająć się przyjaciółmi. Ale wtedy wbił Terramar jako pan maruda, niszczyciel uśmiechów dorosłych i dobrej zabawy. Okazało się, że jego siostra zaginęła i że to wina Starlight, bo jak ta śmiała mieć życie prywatne.

W końcu się okazało, że Silverstream badała kuro-liszki, bo po tym, jak Starlight ją olała, to ta uznała, że może powinna sama posiedzieć nad swoją pracą domową. Także wszystko skończyło się dobrze, a szkolny pedagog może po pracy spotykać się z przyjaciółmi zamiast zajmować się pierdołami uczniów, prawda?

Eeee... No, generalnie to ma prawo i w ogóle, tylko że z tego odcinka to w ogóle nie wynika! Równie dobrze mogli znaleźć Silverstream zamienioną w kamień i co wtedy? Morał do kosza? A przecież tak prawdopodobnie skończyłyby się jej próby zawarcia przyjaźni z kuroliszkiem, gdyby nie magiczny plot armor.



The Last Crusade

Jeden z najbardziej szkodliwych odcinków w całej historii serialu. Jakbyście się zastanawiali, o czym to było – ciotki i rodzice Scootaloo. Jak można uczyć dzieci, że pewne rzeczy są akceptowane? Wstyd, hańba i degeneracja! Mowa oczywiście o tym, że można wymuszać na dorosłych płaczem, krzykiem i lamentem, bo to działa. Oraz że psiapsióły z podstawówki są ważniejsze niż nowa praca rodziców i wyprowadzka.

Pozwólcie, że opowiem Wam historię Zosi z 5A. Zosia ma dwie koleżanki, z którymi buja się od trzeciej klasy – Alę i Kasię. Są nierozłączne, nocują u siebie, a nawet zrobiły sobie identyczne bransoletki przyjaźni. No przyjaźń rośnie wokół nas! Ale wtedy rodzice Zosi dostają pracę na drugim końcu Polski. Pracę, dzięki której będą mogli poświęcać rodzinie dużo więcej czasu. Ale Zosia się nie zgadza. Będzie histeryzować, przykuwać się skakanką do drzewa w ogródku i drzeć mordę. Aż w końcu przeprowadzka się dokona i Zosia po miesiącu przestanie tęsknić za Alą i Kasią, bo mniej więcej tak działają poważne przyjaźnie ze szkoły podstawowej.

Zamiast zrobić mądry odcinek o zmianach w życiu i podtrzymywaniu kontaktu ze starymi przyjaciółmi, to należało zrobić coś, co pokaże dzieciom, że historia jest dobra i nie ma nic ważniejszego niż psiapsiółki ze szkoły. A nie oszukujmy się – większość

tych znajomości szybko się kończy i urywa przy zmianie szkoły czy nawet klasy. MLP generalnie ma problem z przedstawieniem tego motywu – upływu czasu i jego wpływu na przyjaźnie. Nawet epilog za bardzo tego nie pokazuje, bo to okazałoby się za trudne. Ale życie jest takie, że w pewnym momencie ludzie idą do pracy, zakładają rodziny i te elementy stają się ważniejsze od kumpli. Osobiście uważam, że nie powinno się z tym walczyć, tylko to zaakceptować.

Between Dark and Dawn

Celestia i Luna na wakacjach. Jedną jara tyrolka, a drugą urząd pocztowy. To musiało zakończyć się epickim fochem, który w końcu sam przeszedł i doszło do zgody. Typowa siostrzana relacja, którą po prostu w miarę naturalnie przedstawiono. Nie mam tu nic do dodania.

Tymczasem Mane Six otrzymuje bardzo życiową lekcję – rola władcy nie polega na robieniu wszystkiego samodzielnie, tylko na zarządzaniu ludźmi, bo samemu się zwyczajnie nie da. To bardzo życiowe, ale jakim cudem one same na to nie wpadły? Może jeszcze myślały, że księżniczki same myją kible?

The Last Laugh

Pinkie Pie ma mały kryzys egzystencjalny – jej przyjaciółki się rozwijają, a ona tymczasem stoi w miejscu. Aż pewnego dnia Cheese Sandwich wzywa Różową Cholerę do swojej fabryki rozrywki, ponieważ jest smutny. A jest smutny, bo nie nadaje się do tego biznesu, tylko musi działać w bardziej bezpośredni sposób. Morał brzmi: każdy ma inny sposób na szczęście w życiu i niekoniecznie to, co wydawałoby się naturalną drogą rozwoju, jest dobre. Czasami mało ambitne rzeczy są tym, co przynosi nam spełnienie i niekoniecznie należy z tym walczyć. I ja się z tym zgadzam. Przynajmniej dopóki nie jesteś moim dzieckiem, które mówi, że chce iść na studia humanistyczne. No szanujmy się!

2, 4, 6, Greaat

Nawet nie wiem, jak to skomentować. Twilight robi RD szefową drużyny cheerleaderek. A gdzie problem? Rainbow Dash nienawidzi cheerleaderek! A raczej ma je głęboko w zadzie. Czy Tęczółka powiedziała o tym Twilight? Tak. Czy powiedziała jeszcze raz? Tak! Czy reszta Mane 6 widziała, że z cheerleaderkami źle się dzieje i RD je olewa, bo nie chce się tym zajmować? TAAAK!

Bilans: udany występ cheerleaderek i trochę łez i zranionych uczuć szkolnej młodzieży. No i zadowolona z siebie Twilight, że Rainbow Dash się przemogła i zrobiła coś dla uczennic, na których jej zależy. Jakie to jest głupie. Brawo, Twi, jesteś najlepszą dyrektorką, mogłaś poprosić kogokolwiek innego, ale musiałaś coś udowodnić. Uważam, że RD i AJ lepiej nadałyby się na trenerki drużyny buckballu, bo w końcu to one trenowały Pinkie oraz Shy, za to Pinkie doskonale zajęłaby się cheer-squadem. Dobrzy zawodnicy niekoniecznie dobrze uczą innych uprawianego przez siebie sportu.

A Trivial Pursuit

Ten odcinek ma dwa problemy. Jednym jest Twilight, a drugim Pinkie Pie. Ta pierwsza chce wygrać za wszelką cenę, więc posuwa się do nieuczciwych praktyk, a ta druga jest po prostu głupia i wkurzająca. Wyobraźcie sobie, że zależy Wam na wygraniu konkursu, ale startujecie w parach i Wasza towarzyska niedoli ma inteligencję ziemniaka. Serial próbuje nam wmówić, że przyjaźń jest ważniejsza i w ogóle... Ale ja powiem Wam coś lepszego: nie przyjaźnijcie się z wnerwiającymi idiotami. Po prostu nie.

The Summer Set Back

Odcinek o niczym szczególnym. Twilight organizuje imprezę w Canterlot, a drużyna złoczyńców kradnie książki z biblioteki, ale żeby tego dokonać, muszą sabotować Twałota. Mane Six ukrywają, że świat się wali, żeby zapobiec twilightowaniu. Morał jest taki, żeby nie ukrywać takich rzeczy, bo to słabe. No i w sumie tak jest. Zgadzam się, błagam, chodźmy dalej.

She Talks to Angel

Drogi dzieci, dzisiaj nauczycie się zoologii! Wilki mogą żywić się marchewką, a węże ciastkami i jest to dobre oraz prawidłowe. I należy przekonywać drapieżniki do wegańskiej diety, by mogły radośnie hasać wraz ze swoimi ofiarami. Co za kretyn to w ogóle wymyślił?! Tymczasem Fluttershy kłóci się z Anielem, ponieważ ciągle zajmuje się swoim zoo, więc nie ma czasu dla królika, co jest zrozumiałe. W końcu dochodzi do zamiany ciał, żeby bohaterowie zrozumieli, jak ciężkie życie ma ta druga osoba. Taaaa...

Wicie, czemu nie lubię Fluttershy? Bo jej miłość do zwierząt jest toksyczna. Shy to typowa bambinistka, a w jej świecie zwierzęta nie muszą się nawzajem zjadać czy walczyć ze sobą o terytorium. Ale prawdziwa fauna tak nie wygląda i wołałabym, by dzieci oglądały Animal Planet, a nie te odcinki kucyków pony. I niech nie liczą, że ich piesek w końcu zrozumie, że teraz mają dla niego mniej czasu, bo mają drugiego pieska, trzy koniki i pięć kotków. Nie, to tak nie działa.



Dragon Dropped

Rarity straciła swojego Murzyna i jest wściekła, dlatego konkuruje z Gabby o jego względy. W końcu obie panie dogadują się między sobą i pojmują, że Murzynem można się dzielić. Nie wiem, czego to miało kogokolwiek nauczyć, ale powiem tak: nie dajcie się wepchnąć w taką relację, jak Spike.

A Horse Shoe-In

Ponieważ Twilight idzie przejąć władzę nad krajem, to Starlight otrzymuje władzę nad szkołą. I potrzebuje wicedyrektora. Swoją drogą – czemu Twilight przejęła szkołę Celestii i oddała własną, zamiast przenieść stolicę do Ponyville i zostać przy własnej placówce? Przecież tam znajduje się jej cały zamek. Wiadomo, że Canterlot to większe miasto, ale Twilight jest księżniczką przyjaźni, więc chyba powinna być bliżej tego, co sobą reprezentuje.

No, ale wicedyrektorką postanawia zostać Trixie, a Starlight bardzo unika powiedzenia jej, że się do tego absolutnie nie nadaje. Ale w końcu musi to zrobić, bo Sztuczka regularnie przegina pałę. I jest cała akcja z fochem oraz „należało powiedzieć wcześniej, ale może nieco delikatniej”. W końcu wicedyrem zostaje Sunburst, a Trixie przejmuje rolę pedagoga, do czego idealnie się nadaje. Oczywiście. Tak należało powiedzieć wcześniej i nie należy dawać pracy po znajomości, bo to się często źle kończy... Zaraz. Ona i tak dała pracę po znajomości. Skomentuję to tak: iks de.

Daring Doubt

Należy nawrócić Achujzotla i Całegobalera, przecież serial się kończy, a oni dalej źli i niedobrzy! Tym razem George R. R. Martin walczy z J. K. Rowling i wydaje własną książkę – ze swojej perspektywy. Rainbow Dash jest oczywiście oburzona, ale Fluttershy się podobała jego wersja, bo faktycznie – Daring Do często wybielała się na kartach powieści. W sumie okazuje się, że Caballeron potrzebował pomocy pegaza, ale tak naprawdę wcale nie jest jakimś złym gościem – on kradnie artefakty dla kasy, a Daring Do dla muzeów, chwały oraz przygody. W końcu i tak musieli iść na emeryturę, bo strażnik tych wszystkich przedmiotów w końcu im wyjaśnił, że oboje są zwykłymi złodziejami, a jego zaraz wywalą z pracy za ich akcje. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, widzieliśmy to już milion razy (i to nawet w tym sezonie).



Growing Up is Hard to Do

CMC stają się dorosłe przy pomocy magicznego kwiatu, ale mentalnie dalej pozostają sobą, więc powodują kłopoty, dużo kłopotów. Bo wiecie, dorosłość oznacza odpowiedzialność za własne czyny oraz pewną samodzielność i umiejętność radzenia sobie z życiowymi problemami i jest to naprawdę dobry morał. Tylko pokazanie tego było dość średnie. CMC są dość samodzielne i zawsze radziły sobie z takimi rzeczami. Zresztą – organizowały obóz dla dzieci. Samodzielnie. I na to były dość duże, ale na wycieczkę na festyn do innego miasta już nie? Czy twórcy czasem pamiętają o tym, co robili parę odcinków wcześniej?

The Big Mac Question

Big Mac postanawia się oświadczyć, w czym pomagają mu Discord oraz Spike. Nic nie idzie po ich myśli. Tymczasem Sugar Belle robi to samo, tylko z innymi minionami. Po jednej wielkiej katastrofie rozwiązują to jak ludzie i po prostu ze sobą gadają. A morał jest z tego taki: jeśli chcesz się oświadczyć czy nawet z kimś umówić, to po prostu to zrób, bez zabawy w jakieś dziwne podchody. Ja się z tym zgadzam.

The Ending of The End

Finał nad finały. Okazuje się, że Grogar to Discord w przebraniu i zamierzał użyć pozostałych złoczyńców, by Twilight mogła uwierzyć w siebie. <świerszcze> Ale coś poszło nie tak i na starcie dostał wpierdol. A potem Equestria dostała wpierdol. A potem wszyscy się zjednoczyli, a w ruch poszły tęcze lasery zagłady. A jaki z tego morał? Po pierwsze nie należy wybaczać zdrajcom, bo znowu coś odwalą, a po drugie dobrze jest mieć sojuszników. Tylko niestety, ale draconequusowi znowu się upiekło! To niepedagogiczne!

The Last Problem

Pamiętacie, jak parę odcinków wcześniej pisałam o tym, że MLP za mało się skupiało na zmianach w życiu? The Last Problem jest właśnie takim odcinkiem. Pokazuje zmiany, ale tak krótko i tak szybko, że nie przedstawia, z czym one się wiążą. Epilog unika tematu jak ognia, a tak naprawdę powinien trwać dużo dłużej niż te 20 minut. No i jakim cudem Luster Dawn nie wiedziała, że Twilight raz w miesiącu spotyka się z Mane Six i wraz z nimi rządzi Equestrią. Gdzie ona żyła? Pod kamieniem?



Pucuśne zwierzątka i dalekie wycieczki, czyli czarna dziura

Witam, witam komiksiarzy! Nadeszła pora na kolejną recenzję, tym razem pod sztandarem „pucuśności” pucyków i nie tylko. Na warsztat trafiają numery 21-24, w sumie trzy (sic!) historie – jedna dwuzeszytówka i dwa oneshoty, kolejna mała nowość w kuco-komiksowym półświatku.

» *Malvagio*

Zanim jednak przejdziemy do standardowego omówienia nowych rzeczy – myślę, że dobrze byłoby wspominać stare, dobre czasy. Pamiętajcie jeszcze recenzję historii o Powrocie Krysi? Niesamowita sprawa! Twilight i spółka ruszały śmiało na kolejną przygodę, rzucając wyzwanie złowieszczym królowej podmieńców! Ja pamiętam to doskonale. Tak, stare, dobre – nie tak odległe – czasy. A przecież tych historii było więcej, na przykład... dobra, wystarczy.

Zastanawiacie się pewnie: „czemu, do diabła, miał służyć ten akapit?” – spieszę zatem z odpowiedzią, że... absolutnie niczemu! Niespodzianka! Jedyne jego role było wypełnienie pustej przestrzeni i zajęcie czytelnikowi cennego czasu... a co za tym idzie, doskonale wpasowuje się we wszystkie historie z niniejszej recenzji. Właśnie tak, jesteśmy wszyscy w odcinku fillerowym, gdzie rzeczy mające jakiegokolwiek znaczenie nie dzieją się zbyt często.

Filler nie musi być jednak czymś złym z założenia i może dostarczać frajdy – przejdźmy zatem do meritum. Pierwsza z interesujących nas historii („Tajemnice Manehattanu”), autorstwa Teda Andersona (scenariusz) oraz Agnes Garbowskiej (rysunki), jest opowieścią o charakterze lekko kryminalnym. W Manehattanie grasuje Rough Diamond, nieuchwytny złodziej biżuterii, a w całą sprawę zamieszany jest nie kto inny, jak Trixie! Iluzjonistka wplątuje w nią zaś odwiedzające akurat miasto Fluttershy, Rarity, Applejack z siostrą oraz mieszkającą na miejscu Babs. Czy uda im się schwytać złodzieja i uratować niewinną osobę przed strycz... więzieniem? Być może nie wszystko jest tym, na co wygląda...

Zarys historii prezentuje się całkiem ciekawie, ale... cóż, komiks niestety zupełnie nie dorasta do rozbudzanych przezeń oczekiwań. Aby zacząć jednak od pozytywnych aspektów, muszę stwierdzić, że na pierwszy rzut oka wspomniana już kilkakrotnie „pucuśność” jest naprawdę przyjemna do oglądania. Postaci wyglądają jak żywcem wyjęte z ilustracji do kucowych książeczek i dobrze wpasowują się do pastelowej stylistyki uniwersum. Na wzmiankę zasługuje również fakt, iż już na początku historii wspomniane zostają wydarzenia z innego komiksu z równoległej serii (której na razie na łamach zina nie omawiałem) – między różnymi zeszytami zostaje zachowana choć drobna ciągłość fabularna! Wszyscy wielbiciele wszelkiej maści kontynuów powinni się więc poczuć usatysfakcjonowani.

Wady, niestety, przeważają jednak nad pozytywami. Po początkowym zauroczeniu szybko okazuje się, że styl, który sprawdza się do ilustracji, zawodzi na polu komiksowym – zwłaszcza w sytuacji, gdy scenariusz wymaga rozrysowania scen akcji. W „Tajemnicach Manehattanu” próżno szukać jakiegokolwiek dynamiki kreski, plansze są tak statyczne, że niemal martwe. W bardziej plasterko-życiowej historii nie byłoby to zapewne aż tak zauważalne, ale podczas wszelkiego rodzaju pościgów i uciezek to naprawdę boli. Co gorsza, wrażenie jest dodatkowo potęgowane przez nagminne powtarzanie ujęć postaci (szczególnie komisarza policji) – w pewnym momencie doprowadzone już do absurdalnego poziomu, gdzie sąsiadujące ze sobą pionowo kadry są jawną kopiuj-wklejką. Oj, bardzo nieładnie...

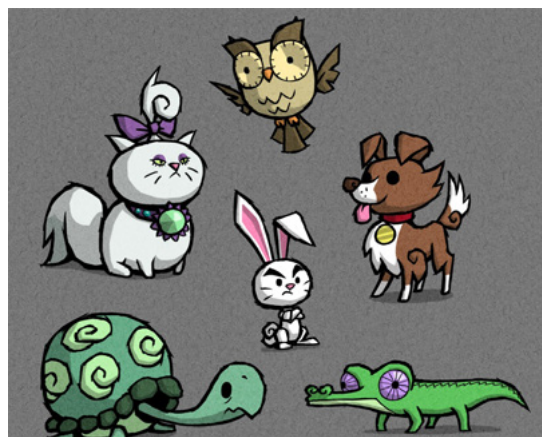
Wątpliwości budzi nawet wybór postaci biorących udział w historii – sprawia wrażenie nie do końca przemyślanego. Autor nigdy nie wyjaśnia, z jakiego powodu przybyły do Manehattanu, można jedynie domniemywać, że jest nim pokaz sztuczek magicznych, od którego zaczyna się akcja. Ciężko mi uwierzyć, by Applejack była nim zainteresowana, jej siostra natomiast otwarcie oznajmia, że cieszy się wyłącznie ze spotkania z kuzynką. Czytelnikowi nie jest dane również poznać odpowiedzi na pytania, dlaczego Rarity nie zabrała ze sobą Sweetie, ani czemu nikt nie pomyślał o Scootaloo, skoro obie na pewno ucieszyłyby się z wyjazdu równie mocno. Wydaje się, że postaci zostały dobrane do historii losowo.

Wszystko to jednak błędnie wobec całkowitego zmasakrowania charakteru Trixie. Ujmując rzecz delikatnie, chwilami zupełnie, ale to ZUPEŁNIE nie przypomina siebie. Rozumiem, iż intencją autora było ukazanie, jak próbuje się stać lepszą osobą, ale odnoszę wrażenie, że jakkolwiek rozwój (i próbowanie) zastąpiony został przełącznikiem „jestem dobra i milusia”. Początkowe strony jeszcze tego nie zwiastują, ale Trixie szybko pozbawiona zostaje swojej charakterystycznej zadziorności. Gdzie się podziały jej drobne złośliwości i egocentryzm? To wie tylko autor, który między „dobrym” (choć to może słowo nieco na wyrost) a „mdłym” postawił znak równości; to naprawdę wielki zawód.

Pozostałe dwie historie (o ile mi wiadomo, nie mają żadnych oficjalnych tytułów), choć nie są ze sobą powiązane fabularnie, omówię już zbiorczo – jest to o tyle łatwe, że w obu oneshotach za scenariusz

odpowiedzialny jest Jeremy Whitley, za rysunki odpowiadają natomiast kolejno Amy Mebberson i Brenda Hickey. Pierwszy komiks poświęcony jest zwierzątom Mane6, które odkrywają, iż ich właścicielki oraz pozostali mieszkańcy miasteczka gdzieś zniknęli. Grupa pod światłym przewodnictwem Angela rusza na poszukiwania, by odkryć, iż Ponyville grozi niebezpieczeństwo i tylko zwierzaki mogą je powstrzymać. Druga opowieść prezentuje się już bardziej klasycznie – Fluttershy pragnie zabrać Znaczkową Ligę na wycieczkę, wszystko jednak komplikuje niespodziewane przybycie Discorda (już „zreformowanego”), któremu proste przyjemności zawsze wydawały się zbyt nudne. Kiedy rusza się na eskapadę w towarzystwie Chaosu, trzeba być gotowym na ciekawe czasy...

Zacznijmy od przygód zwierzątek – na uwagę zasługuje tu fakt, iż niemal do samego końca komiks pozbawiony jest dialogów. Dzięki temu lektura jest błyskawiczna, przeczytanie (czy raczej obejrzenie) całego zeszytu nie powinno zająć więcej niż tylko parę minut, nawet przy dokładnym przyglądaniu się wszystkim kadrom. Niestety, sprawia to również, że naprawdę niewiele jestem w stanie powiedzieć o tej historii; nie zrozumcie mnie źle, istnieją doskonałe komiksy, w których nie pada nawet jedno słowo, ale prostsze, adresowane również do młodszych czytelników, kucykowe przygody to trochę nie ta liga. Kreska jest przyjemna dla oka i w przeciwieństwie do „Tajemnic Manehattanu” potrafi dobrze oddać ruch, kadry są dzięki temu o wiele bardziej „żywe”. Zwierzątka posiadają własne charaktery, z których najmocniej oczywiście zarysowany został Angel – królik udowadnia, iż wbrew obiegowej opinii fandomu – nie jest socjopatą (tę rolę zajmuje dla siebie Opal), a jedynie silną osobowością o przywódczym zacięciu. Na plus można zaliczyć także czytelność komiksu – odczucia i intencje bohaterów zawsze pozostają jasne, choć mają oni do dyspozycji wyłącznie własną mimikę, miejscami nieco jedynie wspomaganą przez charakterystyczne dla kreskówek i komiksowych stripów piktogramy. Słowa nie są w zasadzie potrzebne.



...zwłaszcza, że kiedy wreszcie pojawiają się w epilogu historii, czytelnik z miejsca może pożałować, iż komiks nie wytrwał w swych ślubach milczenia do samego końca. Biedną Twilight zmuszono do wypowiedzenia kwestii w kontekście całej historii tak idiotycznej, iż stała się na pewien czas fandomowym memem. Bynajmniej nie jednym z tych wynikających z sympatii do sceny. Jest to w mojej opinii potężne potknięcie, które ostatecznie nie pozwala komiksowi przebić się do wyższych stóp średnich.

No dobrze, przejdźmy wreszcie do ostatniej historii. Choć również nie jest pozbawiona problemów, prezentuje się całkiem nieźle. Za jej największy plus uważam trafne uchwycenie charakteru Discorda – nie wpada w pułapkę, której nie udało się uniknąć Trixie w „Tajemnicach Manehattanu”; wciąż pozostaje znanym i lubianym przez fanów zwichniętym umysłowo szachrajem. Dla porównania, Fluttershy wypada pod tym kątem odrobinę niespójnie – choć początkowo cieszy się z odwiedzin draconequusa, przez większość wycieczki pozostaje niezadowolona z faktu, iż ten postanowił wziąć w niej udział; charakterystyczna dla niego nieodpowiedzialność może tłumaczyć jej zachowanie jedynie częściowo.

Wprowadzenie Discorda do, w gruncie rzeczy, „plasterka życia” niesie ze sobą powiew świeżości, umożliwiając zaprezentowanie naprawdę interesujących miejsc, postaci... a także czasów, jako że Pan Chaosu (jak sam siebie tytułuje) wciela się w rolę Doktora Who. Otwiera to oczywiście furtkę do licznych nawiązań, ich wielbiciele mogą więc poczuć się zadowoleni – o ile nie przeszkadza im miejscami łopatologiczna oczywistość. Jej najsilniejszym przejawem jest grupka sześciu kotów-rebeliantów o identycznej kolorystyce jak grupka pewnych sześciu kłaczy... Nie od dziś wiadomo, że historia zatacza kręgi, ale osobiście uważam, iż ten motyw został niepotrzebnie przesadzony.

Największy zgrzyt paradoksalnie dotyczy najjaśniejszego punktu komiksu, czyli Discorda. Pod koniec historii z jego ust pada stwierdzenie, iż jedna z prezentowanych postaci jest „ostatnim przyjacielem, jakiego miał przed Fluttershy”. Jawnie kłóci się to z ustanowionym przez serial kanonem, wedle którego Discord nigdy wcześniej nie miał przyjaciół i to stanowiło kluczowy element do jego zreformowania się. Problem wykracza jednak znacznie poza jedno, łatwe do ominięcia zdanie – ogólny, dostarczany przez przeszłość obraz draconequusa zupełnie nie zgrywa się z serialowym

przedstawieniem. Podważa wręcz koncept zmiany, jaka w nim zaszła – jeśli bowiem wszystko, czego czytelnik się dowiaduje, jest prawdą, Discord od zawsze był istotą „chaotyczną neutralną z przechyleniem ku dobru” i żadna zmiana nie musiała w nim zachodzić. Wydaje mi się, że w tym miejscu scenariusz nie został odpowiednio mocno przeanalizowany; wielka szkoda, zważywszy na fakt, że dobrze zrealizowany motyw przeszłości Pana Chaosu z pewnością byłby niezmiernie ciekawy. Zaslugałoby też na więcej niż tylko jeden zeszyt.

To wszystko na dziś. I co ja mam zrobić z tymi nieszczęsnymi komiksami? Spośród wszystkich, które do tej pory recenzowałem, wypadają zdecydowanie najślabiej. Manehattańskie perypetie Trixie zasługują niestety najwyżej na ocenę 2,5/10 – jak się okazuje, „pucuśność” pucyków może i bywa przyjemna dla oka, ale nie w sytuacji, gdy kryje się za nią martwota. Wyczyny zwierzątek Mane6... tu przyznam półtora punktu więcej: 4/10; pomysł przedstawienia historii niemal wyłącznie za pomocą rysunków był śmiały, lecz ostatecznie nie do końca wypalił, w czym aktywnie pomogło memiczne zakończenie. Pozostały podróże w czasie z Doktorem Discordem – choć niemożliwie mnie wręcz drażnią zmiany w ustanowionym kanonie, nie mogę zaprzeczyć, iż historia prezentuje się najlepiej ze wszystkich. Z tego też względu podbijam punktację do 4,5/10; naprawdę nie mogę przyznać lepszej oceny.

Uff, tak oto udało nam się przebrnąć przez fillery. Czy było warto? Pewnie nie. Bolało? Trochę. A co nas czeka następnym razem? Ojoj... no cóż, zostańcie z nami!

Adios!





Kim jest Altius Volantis? - Wywiad

Fandom kolorowych taboretów pełny jest różnego rodzaju artystów, którzy zajmują się całą gamą szeroko pojętej sztuki. Mój dzisiejszy gość jest producentem i DJ-em z naszego polskiego podwórka. Twórca ten, poza komponowaniem muzyki i zabawianiem publiczności, zajmuje się też działalnością charytatywną, próbując rozruszać nieco nasz „martwy” fandom. Panie, Panowie, Pierzochki i Misiaczki, dziś porozmawiamy sobie z Altiussem Volantisem!

» *Moonlight*

Moonlight: Witaj, Altius! Tradycyjnie już bardzo dziękuję, że zdecydowałeś się trochę ze mną porozmawiać i tym samym przybliżyć nieco Twoją osobę naszym czytelnikom. Może na początek standardowe pytanko: jakim sposobem natknąłeś się na serial o kolorowych kucykach?

Altius Volantis: Cześć! Dziękuję Ci bardzo za zaproszenie, to dla mnie bardzo miłe.

Z tego, co pamiętam, to na serial trafiłem już w gimnazjum, czyli w roku 2014, jeśli się nie mylę. Nie było co prawda wtedy żadnej fascynacji serialem; z tego, co pamiętam, jeden z kolegów, pokazując mi twórczość StalinaCWHC, wspominał również o parodii Nasz Polski Kucyk. Na tym jednak się skończyło.

Drugi raz odkryłem serial na początku 2017 roku, w ferie, kiedy to zostając w domu z młodszą siostrą, natrafiłem w telewizji na serial o kolorowych kucykach. Na początku była to bajka jak każda inna, jednak po pewnym czasie zacząłem śledzić fabułę i o dziwo, spodobała mi się. Być może to konkretny odcinek, a może całokształt? Z tego, co pamiętam, były to odcinki „Oklaski dla Sweetie Belle” i „Skrzydłata Wiedza”. Następnie zaczął się etap zaciekawienia, szukania informacji, aż wreszcie 20 lutego 2017 roku zarejestrowałem się na forum MLPPolska, pierwszej społeczności Bronies, z jaką miałem do czynienia.

M: Jakie miałeś pierwsze odczucia po dołączeniu do fandomowej społeczności, coś mocno przykuło wtedy Twoje zainteresowanie?

A: Myślę, że przede wszystkim intrygowało mnie to trochę, no bo jak to tak – bajka dla małych dziewczynek o kolorowych, słodkich kucykach, oglądana przez dorosłych? To było dla mnie lekko nie do pojęcia. Niemniej, po trochę głębszym wejściu w ten fandom zauważyłem, że jednak to też są ludzie, mają pracę, studiują, no, są jak każdy człowiek, tylko w dodatku oglądają pewien serial, a tak – to całkiem normalni, fajni ludzie, z którymi można porozmawiać na wiele innych tematów.

M: Prawda, w dodatku ci ludzie często mają całkiem wiele ciekawych zainteresowań. Między innymi tworzenie muzyki, która czasem zainspirowana jest też samym serialem. Powiedz, jak długo już zajmujesz się komponowaniem?

A: Muzyką zająłem się krótko po dołączeniu do fandomu – co prawda wcześniej podejmowałem jakieś próby, nie zakończyły się one jednak zbyt pomyślnie. Szeroko pojętym DJ-ingiem bawiłem się już od lutego 2017 roku, natomiast jeżeli chodzi o produkcję i komponowanie – końcówka roku 2018.

M: Coś konkretnego zainspirowało Cię, by spróbować swoich sił? Praca z muzyką to dość skomplikowana sprawa i na pewno wymaga sporo wprawy. Co sprawiało Ci na początku największą trudność?

A: Wydaje mi się, że inspiracją, prócz samego serialu rzecz jasna, byli fandomowi muzycy, a tych wiemy, jest masa. Pierwszymi, których uwielbiałem, byli DJ Gestap, JayB oraz John Kenza. Pomyślałem sobie, hej, jeżeli oni mogą, to czemu ja nie mogę, zawsze chciałem spróbować... No i jakoś poszło.

Co do skomplikowania... Tak, potwierdzam, jest to niełatwa sprawa. Mnie tak naprawdę na początku odstraszało zaawansowanie techniczne programów do produkcji audio, czyli DAW (Digital Audio Workstation) oraz to, że żadnej szkoły muzycznej nie miałem, tak naprawdę uczyłem się wszystkiego od zera, eksperymentując. Trochę mi zeszło z tym, no ale cóż, jestem tu, gdzie jestem.



M: Zawsze podziwiałam ludzi, którzy bez szkoły muzycznej są w stanie pracować z muzyką. Nie wiem, czy to kwestia intuicji co do kompozycji, ale miło się słucha pracy twórców, którzy bez większej wiedzy o nutach i ogólnej teorii potrafią skleić coś przyjemnego dla ucha. Skoro już o twórczości mowa.

Czerpiesz inspirację z jakiś konkretnych nurtów muzycznych, czy jest to bardziej spontaniczny proces?

A: Myślę, że co do gatunków, to powoli ewoluuję. Tak naprawdę do fandomu wszedłem zafascynowany nurtem muzyki trance, natomiast powoli zacząłem powoli odbiegać od tej zasady – teraz, prócz różnych gatunków muzyki EDM [Electronic Dance Music], takich jak house, progressive house, chill, ambient, a nawet hardcore – zacząłem tworzyć kawałki bardziej skupiające się na kompozycji i melodiach – instrumental, hybrid orchestral.

Wydaje mi się, że brak znajomości teorii muzyki nie jest aż taką przeszkodą – można to nadrobić w trakcie szkolenia umiejętności technicznych. Poza tym znany muzyk elektroniczny, Thomas Zimmerman, znany bardziej jako deadmau5 (swoją drogą, złapano go na zdjęciu, jak podpisuje autograf ubrany w koszulkę z... Fluttershy, ale to już dłuższa historia), wspomniał kiedyś, że on chętnie by sobie zagrał te wszystkie melodie, które tworzy, na zwykłym pianinie, ale jako że nie umie, musi je układać w piano rollu w DAW-ie. A czy przez to tworzy gorszą muzykę? Absolutnie nie! Polecam przesłuchać piosenkę „Strobe” od niego. Warto poświęcić te 10 minut z życia, by odbyć tę magiczną podróż.

M: Prawda, znajomość nut nie zawsze jest magicznym lekarstwem, a sama szkoła muzyczna czasem nawet utrudnia tę sprawę, z góry narzucając pewne interpretacje nauczanych utworów. Jednak muzyka to czasem coś więcej. Kontakt wykonawcy i słuchacza ma moim zdaniem spory wpływ na samo odczuwanie dzieła. Ludziom słowo DJ kojarzy się mocno już z samym staniem za konsolą i rozkręcaniem imprez. Jak się czułeś, gdy po raz pierwszy udało Ci się faktycznie prezentować swoje kompozycje przed publicznością? Kiedy zdecydowałeś się na taki krok?

A: Och, tak, DJ i producent to są tak naprawdę dwie różne role, dwa różne światy! Tak jak domem DJa są kluby i imprezy, tak obszarem działania producenta jest głównie studio. Tak naprawdę na swoich występach gram głównie utwory innych fandomowych twórców, a swój kawałek grałem wyłącznie raz – na krótkim secie na Snowfall Ponymeece w Katowicach 2018 roku. Była to piosenka otwierająca go – Midwinter Dreamscapes, rozszerzona o intro z narracją w wykonaniu Kekesa – dla mnie to jeden z najważniejszych utworów i trochę

kamień milowy, ponieważ sam utwór znalazł się wtedy na głównej stronie Equestria Daily.

Dlaczego tylko jeden? Nie uważam, że moje produkcje są na razie wystarczającej jakości, by je zagrać w sieci. Specjalnie nie wliczam tutaj utworu Advanced Magic z mojej ostatniej EP, nagrany na Nightmare Night 2019, ponieważ był to wtedy jeszcze work in progress.

M: Zamierzasz w najbliższej przyszłości bardziej rozwijać się w stronę producenta, komponując więcej bardziej dopracowanych utworów i tworzyć nowe projekty z tym związane, czy raczej próbować iść w stronę DJ i rozgrzewać publiczność, tak jak na ostatnim Snowfallu w Katowicach?

A: Myślę, że w obie strony, natomiast z różną intensywnością – umiejętności DJ-a mam już opalone w miarę dobrze, więc większość czasu spędzam teraz na produkcji, co zresztą jest bardzo przyjemne, inwestuję też powoli w domowe studio.

Niemniej wciąż będę grał, jeśli tylko będę miał okazję.

M: Oby ta okazja nadarzyła się jak najszybciej! Skoro już o projektach mowa, czy jesteś zaangażowany aktualnie w jakieś większe przedsięwzięcia? Porcelanka w ostatnim wywiadzie wspominała nam o projekcie HC. Doszły mnie słuchy, że powróciłeś do ich grona. Opowiedz nam o tym coś więcej?

A: Też mam nadzieję, że cała ta sytuacja skończy się jak najszybciej, bo brakuje mi, szczerze mówiąc, zwyczajnie meetów, po prostu, by się spotkać. No ale, trzeba być dobrej myśli.

Jeżeli chodzi o Helpie's Corner... tak, jest to prawda, po tym, jak w okolicach grudnia musiałem odejść, ze względu na to, że był to dla mnie bardzo ciężki okres, udało mi się wrócić w lutym, jak więc widać, rozłąka nie trwała długo... Niemniej w mojej głowie były to naprawdę długie miesiące! Teraz, będąc bardziej doświadczony, mam nadzieję, że szybko odzyskam zaufanie ludzi i będziemy mogli razem pracować i pomagać innym!

Oczywiście mój powrót nie byłby tak szybki i może by do niego w ogóle nie doszło, gdyby nie kilku ludzi, którym jestem bardzo wdzięczny – myślę że każdy zaangażowany w to wie, o co chodzi.

M: Dobrze mieć ludzi, na których można polegać. Bez tego większe przedsięwzięcia byłyby bardzo ciężkie do zrealizowania. Czym aktualnie zajmujesz się po powrocie do projektu? Masz jakieś nowe zadania i obowiązki?

A: To racja! Od początku szukałem kogoś, kto mógłby być szefem i twarzą projektu, a Porcelanka wydawała mi się idealną osobą, i jak widać, mimo kilku potknięć (w sumie tylko i wyłącznie moich), pierwszy album ukazał się i był naprawdę świetny!

W tym momencie w ekipie Helpie's Corner jestem, jak to nazwała Porcelanka, Epic Fishe, czyli krótko mówiąc, zastępcą w razie nieobecności Porcelanki i doradcą – większość spraw konsultujemy ze sobą, wymieniamy się pomysłami i opiniami. Gdy wróciłem do projektu, mieliśmy trochę pracy, nie powiem! Wspólnie postawiliśmy na nogi nasz serwer Discorda, wygląda teraz dużo ładniej i jest uporządkowany. Nareszcie mamy bota, dzięki któremu można nadać sobie odpowiednią artystyczną rolę (co z tego, że 2 poprzednie się popsuly i ten jest trzeci), ogółem też pomagałem w ogarnianiu regulaminu serwera (szacuneczek dla Porcelanki, jest naprawdę świetny!), pisaniu ogłoszeń, przygotowywaniu formularzy i ankiet, udało nam się nawet nakręcić wideo – Porcelanka od strony montażu i animacji, ja od strony dźwięku – będące zapowiedzią prac nad drugim albumem. Użyczyłem tam nawet swojego słabego, jak na standardy YouTube, głosu.



obscuredragone.deviantart.com

M: Miło słyszeć, że projekt dalej się rozwija. Praca przy czymś tak rozbudowanym musi być ciężka, ale też na pewno bardzo satysfakcjonująca, gdy widzi się faktyczne efekty swojego wysiłku. Masz zamiar skomponować coś specjalnego do następnego albumu?

A: Myślę, że tak, zdecydowanie! Mam dług wobec poprzedniego albumu, gdzie dołożyłem tylko cegiełkę w postaci collabu z ricardofr-200. Chciałbym stworzyć do albumu coś, co będzie bardzo mocno w moim stylu, ale jednocześnie pozytywne, radosne – ludzie mówią, że moje utwory są bardzo spokojne, ale czasem gdzieś tam, z tyłu, słycać nutkę niepewności, niepokoju – i to też lubię! Możliwość wpływania na ludzkie emocje to naprawdę coś, o czym zawsze marzyłem – przekazać emocje bez słów, jedynie poprzez muzykę.

M: Oj tak, interakcja ze słuchaczem to coś niezwykłego. Oprócz działalności w HC planujesz aktualnie jakieś inne projekty? Zgłaszają się do Ciebie inni twórcy z propozycją współpracy?

A: W tym momencie pracuję nad własnym albumem, Rusty Wings Tales. Pierwotnie miał wyjść w lutym... niestety troszkę się to przełożyło. Na szczęście dzięki temu, że termin przesunąłem na lipiec, mam czas na dopieszczanie go. Co prawda na papierze jest on już rozpisany, ale niestety jak na razie mam w pełni gotowe 4 z 9 utworów, które się na nim pojawiają. Jak zwykle będzie on oparty na motywie snu i podróży (jak głosi moje hasło na kanale, The Journey Awaits!), zresztą obie dotychczas wydane pełnoprawne EP mają w sobie słowo Journey – Equestrian Journey i Interdimensional Journey.

Co do collabów – mam kilka propozycji zrobienia wspólnego kawałka, na razie jednak chcę się skupić na ukończeniu albumu i podomykaniu innych mniejszych projektów. Wciąż czuję się trochę niepewnie, ale myślę, że pewnego dnia przełamie się do pracy z innymi muzykami.

M: Znam tę niepewność, sama bardzo długo się wzbraniałam przed jakimikolwiek collabami rysunkowymi, a do muzycznych wciąż nie potrafię się przekonać. Co do albumów: gdzie można znaleźć Twoją twórczość? Udostępniasz ją głównie na YouTube, czy korzystasz też z innych platform?

A: Collaby pewnie mogą być fajne, na szczęście nabieram doświadczenia, a naprawdę, niektórzy muzycy nie odpuszczają. Nie będę wymieniał, żeby nie psuć niespodzianki.

Jeżeli chodzi o moją twórczość, najwięcej można jej znaleźć na moim kanale na [YouTube](#), gdzie urządzam czasem streamy z produkcji, gdzie można podejrzeć, jak robię muzykę. Niestety, po czystce na kanale, jaką kiedyś zrobiłem, wciąż brakuje kilku kawałków, ale chcę je po prostu re-renderować dla lepszej jakości. Niemniej reuploady są jak najbardziej w planach.

Korzystam również z platformy cyfrowej dystrybucji muzyki [Bandcamp](#), gdzie wrzucam zarówno utwory zrobione przeze mnie, jak i remiksy innych utworów. Hej, no i jestem artystą na [Spotify](#), gdzie jest część mojej dyskografii! (prawa autorskie blokują remiksy i niektóre kawałki z samplami), a także większości platform z muzyką cyfrową, takich jak Deezer i Apple Music. Wciąż jednak dystrybucja poprzez te platformy może być trochę opóźniona przez dystrybutora, więc Bandcamp i YouTube są najlepszymi formami sprawdzenia mojej muzyki!

M: To w sumie całkiem sporo możliwości. Mówisz, że dystrybucja niektórych utworów jest utrudniona. Jak to ogółem wygląda? Prowadzenie kanału z muzyką jest trudne? Masz jakichś pomocników, którzy pomagają Ci w dzieleniu się swoją twórczością, czy wszystko sklejasz sam?



A: Jeżeli chodzi o dystrybucję na platformy z muzyką – wszystko musi być zgodne z ich regulaminami – dlatego nie można na przykład wrzucać muzyki z samplami z serialu, by nie narazić się na pozew od Hasbro. Bandcamp jest bardziej liberalny, gdy chodzi o tę kwestię, od YouTube’a można najwyżej zgarnąć copyright claim, który raczej nic nie robi. Dystrybutor też musi zaakceptować muzykę i czasem zajmuje to 3 tygodnie, na YouTube i Bandcampa mogą je wrzucać zaraz po stworzeniu.

Czy prowadzenie kanału jest ciężkie? Nie wydaje mi się. Niestety jego promocja już tak, a ja średnio umiem się promować, muszę bardziej liczyć na fanów. Większość wideo na kanał robię sam, piszę opisy, prowadzę dość aktywnie [Twittera](#), powoli zaczynam wrzucać moją muzykę na facebookowe grupy kucykowe, jak Bronies Radosna Twórczość. Bardzo dużo dają na pewno posty o mojej muzyce na zagranicznych blogach, jak Horse Music Herald czy Equestria Daily. Przyjaciele oraz zaprzyjaźnieni producenci pomagają mi, słuchając WiPów i czasami dając cenne wskazówki, co można poprawić, a co jest super. Ale w sumie, to kanał prowadzę sam.

M: Oj tak, zgadzam się. Promowanie swojej twórczości to często praca na pełen etat. Acz ten wysiłek z pewnością popłaca. Pracujesz już nad swoim trzecim albumem, więc można rzec, że masz już trochę doświadczenia w tej dziedzinie. Czy dałbyś radę udzielić jakichś wskazówek początkującym artystom, którzy chcieliby spróbować swoich sił w tworzeniu muzyki?

A: Haha, cóż, sam uważam się za początkującego jeszcze artystę, no ale, coś tam wydaje mi się, że wiem. Przede wszystkim, nie zrażać się na samym początku.

Zgaduję, że oczekujemy wiele, gdy tak naprawdę długa droga przed nami, i to naturalny proces. Cytując znowu deadmau5a, to długi proces – zrobienie świetnej muzyki, którą ludzie pokochają, może zająć Ci dwa lata, pięć, może dziesięć, a może nigdy Ci się nie uda, ale jeśli nie spróbujesz, nie będziesz wiedzieć!

Po drugie, fajnie mieć kogoś znajomego, kto zna się na muzyce, może Cię podszkolić – mnie zeszło tak długo, bo jednak zamiast zaufać poradnikom w Internecie, eksperymentowałem bardzo dużo. Może i to pomogło mi znaleźć swój styl, ale jeśli ktoś pokaże Ci, jak połączyć A i B tak, żeby jakoś to brzmiało, to już jesteś w domu, a doświadczenie przyjdzie z czasem.

M: To brzmi jak bardzo przydatne rady. Też uważam, że posiadanie osoby, której można pokazać swoje dzieła, przyspiesza proces tworzenia. W końcu, gdy coś się tworzy, dobrze jest to pokazać innym, by mieć jakieś odniesienie. To może dla kontrastu zadam Ci trochę prostsze pytanko. Masz jakieś ulubione postacie w serialu?

A: Oczywiście, że mam, kto ich nie ma? Wydaje mi się, że ulubionymi postaciami, poza dwójką Vinyl Scratch i Octavia Melody (myślę, że wiadomo czemu) moimi ulubionymi postaciami są Rainbow Dash, Twilight Sparkle, Derpy, Flitter, Cloud Chaser, również zarażająca swoim optymizmem Autumn Blaze, natomiast z książeczek Luna i Cadance. Każda z tych postaci ma jakieś indywidualne cechy, które tak lubię, że nie mogę tak naprawdę wybrać ulubionej.



M: Ow, bardzo ciekawa grupka. Podzielałam opinię; gdy jest tyle ciekawych charakterów, trudno ograniczyć się do jednej. Wspomniałeś o Octavii, więc pozwolę sobie zadać specyficzne pytanie. Jest dosyć... filozoficzne. Jak myślisz, jakiego instrumentu używa owa klacz?

A: Ouch, rzeczywiście to dość ciężkie pytanie, haha. Szczerze mówiąc, nie chciałem oszukiwać i szukać w źródłach, ale z tego, co kojarzę, grała ona zarówno w serialu, jak i w Equestria Girls, na kontrabasie, jednak to dość spory instrument, który spoczywa zwykle na podłodze. Chwilowo zastanawiałem się, czy to nie wiolonczela, ale jednak wydaje mi się, że na skrzypcach/wiolonczeli być może, grał Bulk Biceps (tak, mówcie, co chcecie, ale Rainbow Rocks kocham).

Niemniej może gra na innych instrumentach smyczkowych? Kto wie? To według mnie najbardziej szlachetna grupa instrumentów, prócz strunowych szarpanych.

M: Bardzo podoba mi się Twoja odpowiedź. Poradziłeś sobie dobrze z tak specyficznym pytaniem, które miało za zadanie wprowadzić nas nieco w klimat kolejnego zagadnienia, muzyki w serialu. Co uważasz na temat ogólnego soundtracku użytego w serii o kolorowych kucykach? Masz może jakieś ulubione utwory? Któreś nuty uważasz za szczególnie inspirujące?



A: Muzyka w serialu to tak naprawdę jeden z najlepiej zrobionych elementów w całej serii. Prawdopodobnie to zasługa twórcy serialowe piosenki Daniela Ingrama, sprawdzające się wszędzie (zgadnijcie, kto wciągnął się w piosenki z serialu Littlest Pet Shop). Zresztą już od pierwszego sezonu muzyka w serialu trzyma wysoki poziom. Pamiętam, że często słuchałem albumów z muzyką z serialu (Songs of Magic and Friendship, Songs of Ponyville, Pinkie Pie's Party Playlist), bo są zwyczajnie dobre, rytmiczne i wpadają w ucho. Szczerze, znam chyba większość tekstów na pamięć. Te nutki mają to... coś.

Equestria Girls tak naprawdę, też ma świetny soundtrack, który można słuchać na okrągło!

Ulubione piosenki? Długo można wymieniać, ale na pewno May The Best Pet Win, Smile Song, Love Is In Bloom, Hearts Strong as Horses, Apples to The Core, Make a Wish, zdecydowanie I'll Fly i The Magic Inside, z nowszych sezonów na pewno Flawless, A Kirin Tale, praktycznie wszystkie piosenki z sezonów 8 i 9.

Equestria Girls? Ciężko mi wybrać, praktycznie całe soundtracki z Rainbow Rocks i Friendship Games.

M: To faktycznie sporo dobrej muzyki, jest w czym wybierać! Wspomniałeś coś o piosenkach z LPS. Czy prócz fandomu kucykowego, udzielasz się też w społecznościach innych uniwersów? Wiem, że epka „Interdimensional Friendship” była inspirowana różnymi seriami, czy poza tym stworzyłeś lub masz zamiar stworzyć jakieś kawałki nawiązujące do innych fandomów? Może jakiś serial czy film szczególnie przyciągnął twoją uwagę pod względem soundtracku?

A: Ano tak, na LPS trafiłem, natomiast nie zdążyłem jeszcze obejrzeć, a planuję.

Fajnie, że wspomniałaś o Interdimensional Friendship EP, bo mieliśmy okazję współpracować przy niej, i to jest jak na razie projekt, z którego jestem jak na razie najbardziej dumny. Rzeczywiście, pojawiły się tam utwory nie tylko inspirowane MLP, ale również serialem Miraculum: Biedronka i Czarny Kot. Szczerze, nie mam pojęcia, jak trafiłem na serial, obejrzałem parę odcinków i się zwyczajnie wciągnąłem. Na obecną chwilę czekam z niecierpliwością na opóźniony czwarty sezon serialu, a będzie się działo, bo finał S3 był naprawdę zaskakujący!

Poza tym ostatni kawałek z EPki nawiązuje do Hazbin Hotel. Przyznam, że oglądałem tę produkcję, spodobała mi się, natomiast nie śledzę zbyt teorii fanowskich.

Inne fandomy? Tak, oglądam jeszcze te „inne kuce”, czyli serial Filly Funtasia. Nie powiem, fajna odskocznia od pastelowych, wesołych kucyków na rzecz nie mniej wesołych, bardziej pulchnych kopytnych. Szkoda tylko, że serial skończył się, jak na razie, na połowie pierwszego sezonu, czyli 13 odcinkach, a nie wiemy nawet, czy dostaniemy kontynuację. Poza tym... mamy dostępny tylko dubbing włoski, chiński i ukraiński, więc średnio.

Przyglądam się jeszcze trochę z boku fandomowi futrzaków, ale jakoś nie znam tego fandomu, jedynie kilku ludzi, z którymi się kumpluję i są furies.

Na pewno chciałbym stworzyć coś w rodzaju soundtracku do mojej ulubionej gry, Ori and The Will of The Wisps, gdyż Oriego ubóstwiam dosłownie. Są również plany na inne kawałki związane z innymi serialami, m.in. z Miraculum, ale to dość wczesne plany. Głównie tworząc, skupiam się na fandomie MLP i czasem moim headcanonie, jak na przykład historii moich dwóch ukochanych OC, Cyan Chaser i Ghost Warrior. Taaa, czasem coś piszę.

M: Wspomniałam o tej EPce, bo osobiście bardzo ją lubię! Wnioskując po Twojej wypowiedzi, można rzec, że bardzo mocno siedzisz w kucykowym fandomie. Masz może w nim jakiś ulubionych artystów? Nie muszą być koniecznie związani z muzyką, w końcu sztuka przejawia się w wielu różnych formach.

A: Jasne, że posiadam!

Zacznijmy od artystów rysujących – przede wszystkim jest to Porcelanowy Okular, która ma naprawdę genialne artysty – kreska, kolory, przede wszystkim emocje na pyszczkach postaci – no cudło! Cieszę się, że razem z Porcelanką mogłem współpracować, i na pewno chciałbym to robić w przyszłości.

Dużym szacunkiem darzę również ekipę Semafora, której częścią jest Porcelanka (jak i Ty również xD) – zawsze fajnie jest wpaść do Was na meetach. Jest jeszcze MereJump, który ma naprawdę talent, trochę chyba się wstydy go pokazać, niemniej naprawdę podziwiam jego indywidualny styl. Tak naprawdę, gdybym miał wymieniać wszystkich artystów, których znam, podziwiam i cenię, minęłoby kilka godzin, więc dodam od siebie tylko jeszcze Fidzfox, Pridark, Sigil oraz hioshiru.

Jeżeli chodzi o muzyków... No, tu jest naprawdę spory przekrój, ale myślę, że taką największą inspiracją dla mnie byli DJ Gestap, Archie, John Kenza/Kadenza. Są i tacy, których udało mi się poznać od bardziej prywatnej strony, jak Brillant Venture, LOBOS, Soul Strings i Velvet R. Wings. Wciąż jednak jestem za małą osobą w fandomie, żeby bardziej prywatnie poznać innych, haha.

Jeśli chodzi o animacje (bo o nich też zapomnieć nie wolno!), moimi ulubionymi twórcami są Argodaemon i Ferexes, a ulubionymi gośćmi od PMVek – SnowT i Jack DC 93.

Chciałem napisać również coś o fanfikach, ale tak już jest, że niezbyt ich dużo czytam. Są to zwykle krótkie teksty. Nie umiem jakoś się wciągnąć bądź nie mam czasu na to, heh.



M: Och, jak miło być zaliczoną do tak ciekawej grupy artystów. Podałeś kilka nazw, których nie znam, ale zdecydowanie mam ochotę poznać nieco bliżej. Skoro już o nazwach mowa... przybliżyłbyś może nieco pochodzenie Twojego przydomka?

A: Ooo, ciekawe pytanie, i zaiste, ciekawa odpowiedź na nie! Otóż sam nick wziął się z serialu, dokładnie z odcinka Nowicjuszka Dash. „Altius Volantis” to po łacinie „Flying Higher”, lecieć wyżej. Cóż, spodobała mi się ta nazwa na tyle, że postanowiłem ją przygarnąć... Z czym wiąże się ciekawa historia, ponieważ istnieje... piosenka o identycznym tytule, stworzona

przez Luck Rocka! Trochę śmieszne, natomiast jest to tak naprawdę zbieg okoliczności i nikt nie ma z tym problemu... prócz ludzi, którzy próbują go przeczytać. Tu też zabawna historia, bo pani Magdalena Krylik podpisała mój identyfikator „Dla Artiusa”. Taaaak, mam o to lekki ból plotu, bo nie dopilnowałem. Na szczęście autograf od pani Joanny Pach już jest z poprawnym nickiem, ale tego dopilnował mój przyjaciel Nejj, który zdobył go dla mnie na Kucykonie. Chciałbym sam, ale razem z innymi artystami byłem wtedy w drodze na kucykonowy koncert, żeby zrobić soundcheck.

Niektórzy ludzie po prostu mówią na mnie Alti, dla skrótu, była też wersja Volant.

M: Tak myślałam, że brzmi jak łacina! Lubię ten język, wszystko brzmi w nim jakoś tak dostojniej. Rozmawialiśmy już o serialu, trochę o fandomie i Twojej twórczości. Masz jeszcze jakieś zainteresowania poza już omówionymi? Co lubisz robić w wolnym czasie?

A: Staram się zagospodarować wolny czas tak, by poświęcić go w 100% muzyce, no ale jak wiadomo, wena jest kapryśna, i czasem trzeba sobie zrobić przerwę. O ile nie próbuję robić czegoś kreatywnego, jak pisanie kucykowych opowiadań czy nawet próby rysowania, chociaż z tym drugim słabo, bo jakoś nie mogę się przełamać i wszystko, co robię wydaje mi się krzywe (ale wciąż uważam, że inwestycja w tablet graficzny to była świetna decyzja), to głównie spędzam wolny czas, nerdując – gram w gry, czytam, śledzę twórczość ogólnofandomową. Chciałbym robić rzeczy, które porzuciłem już trochę temu, a kiedyś były dla mnie bardzo ważne, chociażby projektowanie motywów na Androida w programach Kustom. Na razie staram się po prostu utrzymać balans pomiędzy pracą, odpoczynkiem a twórczością, bo wiem, że dobrze wpływa to na moje samopoczucie. Wiem, kiedyś znajdę na wszystko czas.

No i meety! Uwielbiam jeździć na wszelkiego rodzaju kucykowe spotkania!

M: Wnioskując po Twojej odpowiedzi, można rzec, że jesteś bardzo mocno związany z kucykowym fandomem i poświęcasz mu mnóstwo czasu. Jak myślisz, czy koniec serialu wpłynął jakoś lub znacznie wpływać na zmiany w naszej społeczności? Jak nastawiasz się na przyszłość?

A: Muszę przyznać, że fandom jest integralną częścią mojego życia, to fakt.

A to, że serial się zakończył... Szczerze? Nie zauważyłem zmiany na gorsze. Wręcz przeciwnie! Wracają do nas osoby, które odeszły w poprzednich sezonach, ciekawe, jak kończy się cała seria.

Według mnie finał generacji czwartej był naprawdę udany i nie ma co ukrywać – świetnie zakończono serial, a co, są wysokie nadzieje na generację piątą. Dla mnie koniec serialu tak naprawdę nic nie zmienił. Ponymeety? Są, i to nawet częściej niż za trwania serii! Fanarty, muzyka – nadal są tworzone, a do repertuaru artystów co rusz dołączają kolejni! Jak śpiewał Prince Whateverer, „we’re not going anywhere!”.

M: Oby ten entuzjazm utrzymał się także po czasie kwarantanny. Podzielam Twoje zdanie na temat zwiększenia częstotliwości meetów. Fandom nie jest taki martwy, jak go malują. Wspomniałeś o generacji piątej. Masz co do niej jakieś oczekiwania? Jak nastawiasz się na tę serię? Powinna nawiązywać do swojej poprzedniczki czy może wolałbyś, by stworzyli coś całkowicie odrębnego?

A: Generacja piąta to szansa do rozszerzenia fandomu – dzięki temu zyskamy nowych członków, jednocześnie działając w duchu starej generacji, więc... będzie nas jeszcze wincyj! To szansa na poznanie nowych ludzi, integrację... wydaje mi się, że G5 powinna być jakby duchowym spadkobiercą Friendship is Magic, a jednak wprowadzić nowe postacie i historię. Tak naprawdę nie oczekuję niczego specjalnego – wiem, że będzie dobrze!



M: Optymistycznie. Na pewno byłoby miło, gdyby następna generacja dodała nieco nowej mocy do fandomu. Jedno jest pewne. Na pewno dostaniemy nowy materiał do potencjalnych dzieł. Zbliżamy się już prawie do końca wywiadu. Przypomniałam sobie właśnie, że zapomniałam zapytać o jedną rzecz odnośnie Twojej twórczości. Posiadasz jakiś ulubiony utwór w swojej bibliotece? Z którego kawałka jesteś najbardziej dumny?

A: Cóż, ciężko stwierdzić tak naprawdę... Wydaje mi się, że jak dotąd najbliższe są dla mnie kawałki, w których jest rozbudowana narracja, tak jak Midwinter Dreamscape i wydany w albumie <http://noise.house> „Out of Limit 4: Philosophy of Time” kawałek Through Time and Space. Jak I również moje ostatnie wydanie, czyli Lullaby, które trafiło na Equestria Daily I Horse Music Herald. Dla mnie jako muzyka to naprawdę coś miłego, żeby nie zapomnieć, że ktoś tego słucha, i ludziom to się jednak podoba.



M: Zgadza się, wyróżnienie na popularnej stronie dla fanów kolorowych taboretów jest całkiem przyjemnym i motywującym gestem. Oby było ich w przyszłości jak najwięcej! Jest może jeszcze coś, co chciałbyś powiedzieć naszym czytelnikom na zakończenie naszej małej pogadanki?

A: Myślę, że tak. Z własnego doświadczenia wiem, że ci ludzie, którzy narzekają, że hurr durr fandom umiera... ile Wy zrobiliście, by chociaż troszeczkę mu pomóc przedłużyć życie? Nie trzeba naprawdę wielkich rzeczy – każdy nawet drobny uczynek i gest

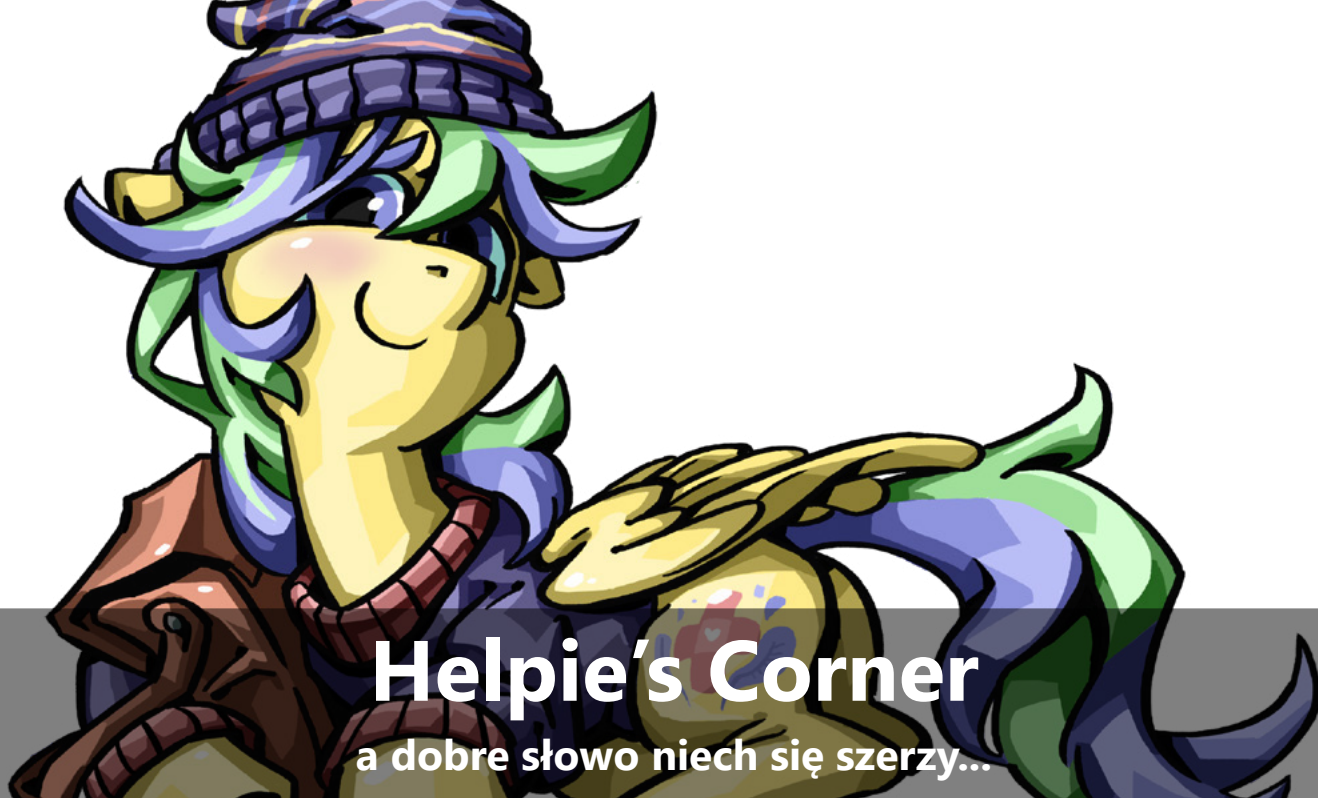
się liczy! Zaobserwujcie grafika na deviantArcie, zostawcie muzykowi komentarz pod piosenką, dajcie znać autorowi fika, którego przeczytaliście, że jego dzieło Wam się podoba! Nie kosztuje to nic, ale nie wyobrażacie sobie nawet, ile to dla nas znaczy! Każdy taki gest daje motywację, by robić dla Was więcej! Mamy tyle nieodkrytych w fandomie artystów – oni też są świetni, brakuje im tylko promocji.

Poza tym nie bójcie się działać! Pamiętam mój pierwszy KPM, gdzie bałam się podejść do kogokolwiek. Teraz? Znam się z wieloma członkami fandomu, mam swoją małą grupkę, z którą jeździmy na meety, udało mi się nawet zorganizować jednego małego meeta na kilka osób u mnie w mieście. Nawet się nie spodziewacie, ile dobra może dać Wam ten fandom. Otwórzcie się na niego, a znajdziecie tu wiele wspaniałych osób, znajdziecie prawdziwych przyjaciół!

M: Podoba mi się to podsumowanie. Podpinam się do Twoich słów i jeszcze raz bardzo dziękuję, że ostatecznie zgodziłeś się trochę ze mną porozmawiać i przedstawić nieco naszym czytelnikom swoją osobę. Powodzenia w projektach, Altius!

A: Dzięki wielkie! Mam nadzieję, że moja muzyka spodoba się członkom fandomu, bo jest robiona tak naprawdę dla nich. Mam nadzieję, że do szybkiego zobaczenia na ponymeecie!





Helpie's Corner

a dobre słowo niech się szerzy...

Kiedy dołączyłam na serwer Helpie's Corner latem zeszłego roku, nie sądziłam, że ta decyzja drastycznie wpłynie na znaczną część mojego życia (spokojnie, nic złego się nie stało!). Z pozoru mały impuls z czasem może przerodzić się w coś, co przerośnie nasze oczekiwania. Jeśli zdecydujemy się kontynuować to, co zaczęliśmy, z czasem może nas spotkać wiele niespodzianek... ale czy wszystkie z nich są dobre?

» Porcelanowy Okular

Helpie's Corner – nie wiem, czy ta nazwa obita się Wam o uszy, ponieważ nie jest to przedsięwzięcie znane przez połowę populacji naszej planety. Co się kryje pod ową nazwą? Jest to charytatywna wytwórnia muzyczna, którą stworzyłam razem z moim bliskim kumplem Altiussem Volantisem. Głównym założeniem tego projektu jest niesienie pomocy potrzebującym na całym świecie, zwłaszcza pojedynczym osobom z naszego (jak i innych zaangażowanych w projekt) życia prywatnego, które nie mają dużego zasięgu w kwestii otrzymania pomocy. Zamierzamy wspierać innych głównie poprzez wydawanie muzycznych albumów kompilacyjnych (tak jak w zeszłym roku), jednak planujemy też o wiele więcej na przyszłe lata, nie tylko w kwestii muzycznej, ale także rysunkowej (ze względu na to, że jestem „grubą rybą” administracji, haha!).

Jak to się wszystko zaczęło? Tę historię opowiadałam już tyle razy, że wystukuję ją na klawiaturze niemalże automatycznie. Kojarzycie Luxisa, prawda? Był jednym z administratorów For Glorious Equestria, ściągał nam aktorów głosowych jako gości specjalnych wielu meetów, sam parał się dubbingiem jak mało kto w fandomie i nawet udało mu się zdobyć posadę reżysera w polskiej odsłonie Dragon Balla. Człowiek wielkich ambicji, który gotowy był ruszyć w pogoń za swoimi marzeniami... odszedł. 6 lipca posłaliśmy pożegnanie Luxisowi po raz ostatni, tylko po to, by na zawsze został w naszych sercach. Nim jednak śmierć zwyciężyła w tej zaciętej bitwie o przetrwanie, Altius wpadł na pomysł, aby zebrać fundusze na możliwą operację rodzimego Broniaaka, a jako że jest muzykiem, to wymyślił koncepcję albumu kompilacyjnego. Mimo iż główny cel produkcji został odrzucony, ze względu na pamiętne wydarzenia, postanowiliśmy wspomóc chociaż jego najbliższą rodzinę, która borykała się z trudną sytuacją finansową. Altius przygotował serwer, rozesłał wieści i po jakimś czasie znalazłam się na pokładzie jako grafik zespołu i jedna z „dowodzących”. Wszystko miało być takie proste... no właśnie, miało.

Początki naszej wytwórni były niezwykle wyboiste, nie ma co tu kryć. Już od bardzo dawna nie chowam do winowajców żadnej urazy, a nie piszę tu niczego, aby zjechać czyjąś reputację czy skompromitować kogokolwiek. Praca nad takim projektem wymaga ogromnego poświęcenia, czasu i energii, co może nieraz przerosnąć nasze idealistyczne oczekiwania, a gdy życie funduje nam przejażdż-

kę rollercoasterem stanów depresyjnych, to całość nie może się skończyć dobrze. Wracając jednak do mojej wypowiedzi – z początku miało być lekko i fajnie, ale z czasem nasza wytwórnia wpadała w coraz większy wir nieporadności. Myśleliśmy, że całość będzie wyglądać o wiele prościej, „przecież to tylko kilka osób wrzuca muzyczne kawałki, a pozostali rysują fajne obrazki do tych piosenek”. No co może pójść źle? Podpowiedź: WSZYSTKO. Zabawnym jest, jak niepozornymi wydają się takie przedsięwzięcia ze strony konsumenta. Przygotowanie planu akcji, informowanie uczestników projektu, jak i fanów na mediach społecznościowych o postępach projektu, stworzenie zasad, którymi członkowie zespołu będą się kierować – o tym i wielu innych rzeczach nie mieliśmy zielonego pojęcia. Wszyscy byli poinformowani tak, jak studenci na ASP (czyli wcale), nikt nic nie wiedział, każdy był wkurzony na orgów, a ja nie wiedziałam, jak załagodzić gniew gawiedzi, ponieważ nie znałam odpowiedzi na ich żarliwe pytania. O, słodka Cadance... to były, hm, ciekawe chwile w moim życiu.

W pewnym momencie Altius po prostu przekazał mi pałeczkę i kazał iść dalej, na co ja nie mogłam zbyt zareagować odmową, ponieważ nie było innej osoby, która mogłaby się tego podjąć. Swoją drogą, nawet chciałam spróbować swoich sił w prowadzeniu takiego przedsięwzięcia, był to swego rodzaju osobisty cel, który pragnęłam osiągnąć, aby dodać sobie nieco boosta pewności siebie. Były chwile, w których miałam ochotę powrywać wszystkie włosy z własnej głowy, jak i z głów uczestników projektu, jednakże STOPNIOWO udało mi się dojść do celu, wraz z pomocą drogiej Violin Melody, która pomogła mi bardzo w organizacji wszystkiego i promocji naszego pierwszego albumu. Układ piosenek, tworzenie okładki, promocja, spisywanie informacji, bla, bla, bla... Gdy wszystko było już gotowe, album poszedł „w obroty”. Nasz pierwszy projekt zebrał ponad 200 złotych, co uważam za sukces, jak na coś, co wyskrobały żółtodzioby. Po premierze albumu można było nieco odetchnąć na kilka miesięcy, aby naładować baterie przed następną akcją.

Gdy zbliżał się okres świąteczny, powoli zaczęłam planować kolejne przedsięwzięcie naszej wytwórni, ponieważ... ciekawie było być organizatorem takiego przedsięwzięcia. Nie tyle chodzi mi o samo dowodzenie, ile raczej o utrzymywanie porządku, udzielanie odpowiedzi na pytania, po prostu pomaganie innym. Gdy zawitał nowy rok, Altius znów

skontaktował się ze mną, chcąc pomóc mi przy działalności projektu, na co bardzo się ucieszyłam, ponieważ nareszcie mogłam dać mu możliwości do rozwinięcia skrzydeł. Poza tym głupio bym się czuła, gdyby założyciel projektu sam w nim nie uczestniczył. Widać też było, że Altius pragnie odbić się od dna i zaszyć kilka dziur, które napruł na swojej drodze, i jestem mu wdzięczna do dziś za to, że zebrał się na odwagę, by stanąć twarzą w twarz ze swoimi słabościami. Praca nad przygotowaniem nowego projektu zajęła nam... jak widać, 3-4 miesiące (piszę ten tekst w momencie, gdy ruszyły już prace nad częścią muzyczną). Gruntowna odnowa naszego serwera na Discordzie, spisanie nowych zasad dla uczestników, przygotowanie formularzy dla zainteresowanych, odnowa mediów społecznościowych (a nawet założenie nowego konta na Facebooku)... no i tworzenie grafik potrzebnych do odnowienia wizerunku „marki”. Ach, wspomniałam jeszcze, że musieliśmy wszędzie się reklamować, w tym przygotować filmik na YT, który robiliśmy naprędce? Brzmi nudno i żmudnie? Bo takim jest!... po części przynajmniej. Nie mogę ukryć, że przy każdej z tych czynności towarzyszyło mi uczucie satysfakcji związanej z tym, że przez nasze lata nie z papierkową robotą usprawnimy robotę dla WSZYSTKICH i wszystko od tej pory będzie szło szybciej. Widzicie teraz, ile trzeba włożyć w takie, byle ot, charytatywne maleństwo. A dobra organizacja to tylko jedna strona medalu! Potrzeba jeszcze masy ludzi, aby projekt mógł jakkolwiek ruszyć z kopyta – zajmujących się mediami, członków projektu, administracji. Kontakty z innymi wytwórniami bardzo ułatwiają działalność, ponieważ można zawrzeć współpracę i wspierać się wzajemnie. W dobie Internetu niby tak łatwo do każdego dotrzeć, jednak tylko pozornie. Potrzeba kontaktów i pracy, aby uzyskać pożądany efekt.

No, to skoro historię tego bałaganu mamy z głowy, to może opowiem Wam nareszcie o tej fajnej stronie projektu? Pracy trzeba włożyć dużo, ale jeśli jesteśmy cierpliwi i wkładamy w ów projekt swoje serce, to się nam to opłaci. Świadomość, że te 200 ileś złotych uzyskałeś dzięki swojej ciężkiej pracy i staraniom innych, że gdyby nie Ty, to tego by nie było... to jest coś niepowtarzalnego. To, że to 200 złotych FAKTYCZNIE komuś pomoże. Jak śpiewał Dżem: „W życiu piękne są tylko chwile...” i to na pewno jest jedna z takich chwil, dla których warto jest wstać rano z łóżka. Taki projekt przyniesie też mnóstwo nowych znajomości, które mogą stać się czymś więcej niż tylko „biznes-talk”. Współpraca

może przekształcić się w przyjaźń i już będzie o jednego łebka więcej, który sprawi, że mamy po co się budzić. Dla mnie też ogromnym plusem jest to, że dzięki takim akcjom mogę poznać nieznanymi mi artystów/muzyków, którzy są jak takie perełki ukryte na dnie morza – nie masz pojęcia o ich istnieniu, póki się na nie nie natkniesz. Fandom zrodził wielu wybitnych muzyków i znaczna ich część jest naprawdę przemiłymi osobami, którym chciałabym poświęcić ogrom mojego czasu! Świadomość integracji dwóch różnych artystycznych środowisk i bycie integralną częścią tego wszystkiego – gratulacje, właśnie stworzyłeś swój mały „ekosystem” artystyczno-kulturalny! Uważam, że to całkiem niezłe osiągnięcie.

Organizacja takiego projektu jest też czymś, co z pewnością możecie śmiało wpisać do własnego CV. Uważam, że dzięki Helpie's Corner mam o wiele więcej do zaoferowania jako pracownik, ponieważ mogłam doszlifować moje umiejętności organizatorskie, nie wspominając o pomysłach, jakie się rodzą co rusz, kiedy omawiam coś z kadrą HC. No i to właśnie przez pracę nad tym projektem nauczyłam się obsługiwać After Effects! Co prawda jestem amatorem, który ogarnia podstawowe funkcje, ale filmik mogę już skleić! Widzicie, do czego prowadzi odpowiednia motywacja?

A propos motywacji – mamy jej na tyle, żeby kontynuować naszą działalność przez lata, jeśli nie dekady (miłosierne księżniczki, pozwólcie nam dopiąć swego!). W planach mamy zaplanowane wiele, trzeba tylko znaleźć czas i wykrzesać nieco sił na ich wykonanie, haha! Pewniakiem jest prowadzenie prelekcji na kucykowych konwentach, ponieważ właśnie od środowiska Broniaków się zaczęło (no i orgowie by się ucieszyli na jakiegokolwiek prelekcje w ich harmonogramie atrakcji), lecz nie chcemy się ograniczać tylko do tego. Gdy nasza społeczność nieco bardziej urośnie i staniemy się jakkolwiek rozpoznawalni poza polskim kucykowym fandomem, to zaczniemy celować w konwenty

ogólnofandomowe. Nie chcemy ograniczać się tylko do kucykowego contentu – u nas każdy jest mile widziany! Jeśli chodzi o kwestię artystyczną, to tutaj mózg mi aż paruje od nadmiaru pomysłów – stworzenie jednego wielkiego artbooka z dziełami wszystkich, którzy wzięli udział w akcji, wspólne przygotowanie merchu z naszą maskotką na wszelakie konwenty (wszystkie datki przekazane zostaną na cele charytatywne, rzecz jasna), stworzenie komiksu dotyczącego jej historii, praca nad wielką kompilacyjną animacją i wiele innych akcji. W kwestii muzycznej Altius zdradził mi, że na pewno będziemy mogli promować artystów poprzez wydawanie singli, które są idealnym pretekstem dla zorganizowania jakiejś mikro kreatywnej akcji

w naszej społeczności. Planujemy też stworzyć stronę internetową naszej wytwórni, jednak to idzie nam nieco topornie, ze względu na „problemy techniczne”... ale z czasem na pewno nam się uda, prawda? No!

Jeśli iskierka zainteresowania pojawiła się w Waszych sercach, to mogę powiedzieć, że nasza misja zakończyła się sukcesem! Pragniemy podzielić się wieścią o naszej działalności z jak największą liczbą internautów, z każdego zakątka sieci. Chodzi tu o coś tak istotnego, jak pomoc drugiej osobie, która jest po drugiej stronie ekranu – to temat na tyle uniwersalny, że każdy jest w stanie coś zrobić, aby przyłożyć pomocne kopytko do naszego dzieła. I nie trzeba być wirtuozem w żadnej artystycznej dziedzinie! Oczywiście naszą bazą są muzycy, rysownicy, jednakże to tylko namiastka całości. Nie poradzilibyśmy sobie bez administracji, programistów, jak i ludzi, którzy są po prostu gotowi nas wysłuchać i przekazać informację dalej, wspierając nas jednocześnie czy to lajkami na Facebooku, czy poprzez prywatne wiadomości. Dlatego zachęcamy Was, abyście podzielili się wieścią ze swoimi bliskimi, aby jak najwięcej osób dowiedziało się o akcji i zdecydowało się pomóc innym! Śledźcie nas na naszym [Twitterze](#) i [Facebooku](#), aby być z nami na bieżąco! Do następnego razu!





Wywiad Catkitty

Każdy z nas, w mniejszym lub większym stopniu, uwielbia koty, a w szczególności ich młode. Wiecie, że w naszym fandomie jest pewien koci osobnik, który nie dość, że jest serdeczny i utalentowany, to jeszcze przykłada swoje kopyto (czy też łapkę) do niektórych fandomowych wydarzeń? Jeśli ciekawi Was postać, która skrywa się pod pseudonimem Catkitty albo jesteście zainteresowani niektórymi informatycznymi nowinkami, to zapraszam Was do wywiadu.

» Victoria Luna

Victoria Luna: Witam Cię serdecznie, Catkitty. Czy mógłbyś przedstawić się naszym Czytelnikom i opowiedzieć coś o sobie?

Catkitty: Cześć. Oczywiście, pozdrawiam Czytelników i już to czynię! Moim nickiem, po wielu bataliach, jest – jak już słusznie zauważyłaś – Catkitty, zaś cywilnym imieniem – Mateusz. Mam 22 lata i mieszkam na kapryśnym pod względem pogody Pomorzu, którego to kapryśność uwielbiam. Aktualnie mój czas pochłaniany jest głównie przez studia informatyczne pierwszego stopnia na Politechnice Gdańskiej, którą – jak Bóg pozwoli – opuszczę za rok. Ponadto jestem już od dwóch lat na stażu u pewnego amerykańskiego giganta komputerowego z niebieskim logo. Kucyki oglądałem od przełomu 2011 i 2012 roku, a z faktycznym żywym fandomem mam do czynienia chyba od pięciu lat, w którym to zdarza mi się czasem trochę bardziej udzielać.

V: Jak to się stało, że zainteresowałeś się serialem o kucykach?

C: O dziwo, jest to pytanie, na które mam w miarę prostą odpowiedź, a którą stanowi trójka mojego młodszego rodzeństwa. W trakcie przerwy bożonarodzeniowo-noworocznej 2011/2012 spędzałem dużo czasu bez żadnego konstruktywnego zajęcia, więc oglądałem z nimi telewizję. Z racji tylko jednego dostępnego telewizora oraz przewagi liczebnej, to moje rodzeństwo wspólnie decydowało o tym, co oglądamy, więc królował kanał MiniMini+. W natłoku mniej lub bardziej rakowych seriali, kilkunastokrotnie trafił się serial o kucykach. O ile wcześniej (w 2011 roku) byłem co do niego bardzo sceptycznie nastawiony („Jaka znowu księżniczka Celestia, co to ma być? Marta, o czym ty mówisz? Czemu nie ma Megan?”), nie wierząc, że mogłoby to być choć tak dobre jak pierwsza generacja, którą oglądałem za młodu, o tyle w trakcie tej przerwy faktycznie doceniłem treść – a w szczególności – muzykę tego serialu. Później w ferie zimowe zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno jest ze mną wszystko w porządku. I tak oto żeglując po anglojęzycznej Wikipedii, jak to mam w zwyczaju robić, gdy chcę zgłębić jakiś nowy temat, natrafiłem na łącze do My Little Pony: Friendship is Magic Wiki, zaś tam do jej polskojęzycznej odpowiedniczki, gdzie zostałem na dłużej.

V: Jak kucyki odbiły się na Twoim życiu? I jak zaczęła się Twoja kariera w szeregach administracji polskiej Wiki o My Little Pony?

C: Mógłbym się pokusić o stwierdzenie, że kucyki w dużej mierze ukształtowały moje życie. Miałem z nimi wszak do czynienia przez cały okres dorastania, zaczynając od 14. roku życia, poprzez całe liceum, maturę i początek studiów, a na wyprawach z domu kończąc. Po drodze miałem okazję nawiązać wiele bliższych lub dalszych, mniej lub bardziej wirtualnych znajomości, najpierw poprzez różne strony postaci na serwisie Facebook, potem poprzez kanały roleplay'owe na IRC oraz wspomnianą MLP Wiki. Początek historii mojego udziału w tym projekcie nie brzmi zbyt wyniośle. Dawno, dawno temu (tj. w marcu 2012) natrafiłem na polską wersję językową tej Wiki i zauważyłem panujący na niej nieład, więc jako internauta, który jeszcze dawniej próbował swoich sił w edytowaniu Wikipedii, postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce, pousuwać duplikaty, kilka przekierowań i kilkanaście bezsensownych kategorii oraz poprawić i uporządkować kilka istniejących artykułów. Niestety, zwykły użytkownik nie ma uprawnień pozwalających na usuwanie, więc założyłem na tablicy założyciela (Gresia – zrezygnował w 2015) wątek z listą rzeczy, które może bez problemu usunąć oraz drobną sugestię wraz z neutralnym pytaniem: co mógłbym zrobić, żeby zostać adminem. Gresiu najwyraźniej nie potrzebował niczego więcej, bo już tydzień później nadał mi odpowiednie uprawnienia. Do wakacji Wiki się rozwijała, nabyliśmy trzeciego administratora (Pimma – zrezygnował w 2019), który posiadał niezły dryg do porządkowania artykułów, robienia infoboksów (tych tabelki na górze artykułów wikipedycznych) i panowania nad wandalami, zaś w czasie samych wakacji dokonaliśmy przejęcia „konkurencyjnej” Wiki, która miała większą społeczność i ohydny adres (pl.mylittleponyprzyjatomagia.wikia.com). Dzięki temu, pod naszymi skrzydłami pojawiło się mnóstwo świetnych redaktorów oraz pierwsza adminka (Iguana – zrezygnowała w 2014), jak również o wiele przyjemniejsza szata graficzna. W tamtych czasach dołączyli do nas również Skradacz (zrezygnował w 2014) i Vengir (obecny biurokrata, czyli szef), którzy zdjęli ze mnie wszystkie czysto techniczne zagadnienia, przez co moja rola w sumie zaczęła się ograniczać do sprawdzania pisowni i kontaktu z FGE, MiniMini+, Hasbro czy też innymi społecznościami językowymi MLP Wiki. Skupiłem się w tamtym okresie trochę bardziej na roleplay'ach, zaś później – na działalności w żywym fandomie w ramach Bronies Twilight. Od chwili założenia wikiowego Discorda, kontakt z moim „dzieckiem” na nowo się pogłębił, w wyniku czego jedna z administratorok (Sarnna – do

2014 moderatorka) nosi miano mojej Najlepszej Kumpeli. Dzięki udzielaniu się w BT i Tribrony (od 2016 roku) zacząłem pojawiać się na pomorskich meetach i konwentach, a przez to poznawać ludzi na żywo, zaś na początku zeszłego roku po raz pierwszy opuściłem swoją strefę komfortu, pojawiając się na Krakowskim Ponymecie 18.2, a potem na Kucykonie. Na obu tych wydarzeniach miałem przyjemność bliżej poznać wasz artystyczny Semafor, czego efektem jest moja obecność w Equestria Times oraz fakt, że jesteś na szczycie mojego rankingu liczby wiadomości.



V: Jak patrzysz na to wszystko z perspektywy czasu? Czy ta decyzja (dołączenie do grona administracji Wiki, a tym samym – fandomu) była właściwa? Co byś zmienił?

C: Z perspektywy czasu stwierdzam, że dołączenie do grona administracji MLP Wiki było jedną z najślusniejszych decyzji w moim życiu, a akurat podejmowałem w nim wiele innych, często naprawdę złych, wyborów, więc mam porównanie. Pomaganie w budowaniu czegoś od podstaw było świetnym zajęciem, bezpośredni kontakt z redakcją MiniMini+ i oznajmienie polskiemu fandomowi daty premiery drugiego sezonu serialu w polskiej wersji językowej również. Na samej Wiki poznałem kilku świetnych ludzi, w szerszym fandomie oczywiście jeszcze więcej, z wieloma z nich utrzymuję stały, codzienny kontakt. Jeśli chodzi zaś o pytanie, co bym zmienił, to tutaj pojawia się pewna smutna kwestia. Żałuję tego, że w ogóle kiedykolwiek zająłem się kucykowym roleplay'em na IRC. Przez ten okres w moim życiu (2013-2015), tak naprawdę każdą wolną chwilę spędzałem na kanale, nie szukałem kontaktu z rzeczywistością, nie miałem potrzeby próbować pojawić się na jakimkolwiek meecie, a do tego zaniedbywałem Wiki, przez co bardzo oddaliłem się od kwitnącej wtedy spo-

łeczności, nie rozwijałem swoich mniejszych lub większych talentów czy zainteresowań. Często się zdarza, że nie rozumiem jakiegoś powszechnego w polskim fandomie nawiązania, bo do żywego fandomu dołączyłem po prostu za późno.

V: Jaki wkład, oprócz wcześniej wymienionej Wiki, masz w polski fandom?

C: Jeśli mówimy o działalności nijak niezwiązanej z MLP Wiki w faktycznym, żywym, namacalnym fandomie, to od 2017 roku regularnie współorganizuję (Fundacja BT) lub pomagam przy organizacji (Stowarzyszenie Tribrony) meetów i konwentów na Pomorzu (nie tylko kucowych, jak Twilightmeet, ale też konwentów multifandomowych: Remcon i mangowego Tenshi), szczególnie kładąc nacisk na kwestię akredytacji, czyli weryfikowania tożsamości uczestników, pobierania opłat, wpuszczania na teren i pomagania, gdy zgubią się na samym początku. Na potrzeby zeszłorocznego Remconu przygotowałem nawet komputerowy system usprawniający sprawdzanie biletów i wydawanie identyfikatorów, który okazał się, niestety, jedynie połowicznym sukcesem. Lubię też wspomagać fandomowe przedsięwzięcia swoim jedynym aktywnie rozwijanym talentem, czyli programowaniem, jednak okazja do tego przydarza mi się tragicznie rzadko. Jeśli zaś mówimy o twórczości polskiego fandomu, to czasem zdarza mi się coś narysować, w szczególności grafikę wektorową (miejmy nadzieję, że za sprawą mojej funkcji w ET będzie to częstsze zjawisko), jak również od dawien dawna usiłuję rozwijać swój fanfik o życiu Sunny'ego Raya.



V: Jak wyglądają konwenty od strony organizacji – zarówno te mniejsze, jak i większe? Czy masz na koncie jeszcze jakieś powieści?

C: Do ekipy Bronies Twilight, którą później sformalizowano w Fundację BT, dołączyłem już dawno po zakończeniu epoki spontanicznych spotkań w Maku, więc organizacji jest, i to sporo. Każdy członek naszego zgranego zespołu ma jakąś dziedzinę, w której czuje się swobodnie, z czego oczywiście korzystamy przy planowaniu. W przypadku mniejszych wydarzeń, takich jak Twilightmeet czy Tenshi, przygotowania zaczynają się z około trzymiesięcznym wyprzedzeniem, zaś w przypadku Remconu – z półrocznym. Prezes (MK) wyszukuje spośród zaprzyjaźnionych szkół najodpowiedniejszą dla danego wydarzenia i kontaktuje się z jej dyrekcją, w międzyczasie wraz z koordynatorem danego wydarzenia szukają patronatu medialnego (no i – rzecz jasna – honorowego patronatu władz lokalnych), firm gastronomicznych skorych do zaoferowania zniżek uczestnikom wydarzenia oraz, co na tym etapie najważniejsze, twórców atrakcji, gotowych pojawić się na konwencie i wypełnić jego program swoimi wyczynami. Gdy już wiadomo, kiedy i gdzie wydarzenie się odbędzie, podaje się to do publicznej wiadomości i zaprasza do współpracy prelegentów oraz – zawsze brakujących – helperów, jak również wystawców (w przypadku Remconu również stoiska gastronomiczne) oferujących swoje produkty i inne towary na terenie wydarzenia. To jest moment, w którym wszyscy organizatorzy powinni już znać na pamięć plan budynku, żeby móc przygotować plan wydarzenia dla poszczególnych sal oraz rozrysować układ stołów w strefie wystawców, a także zadbać o dostęp do prądu, projektorów czy laptopów. W przypadku większego wydarzenia, tydzień lub dwa tygodnie wcześniej może mieć miejsce wizja lokalna, na której cała organizacja oraz część helperów ma możliwość zapoznania się na żywo z placówką. Prawdziwa zabawa zaczyna się jednak dopiero popołudniem dnia poprzedzającego początek wydarzenia. Wtedy następuje wielkie przemeblowanie szkoły i przystosowanie jej do użytku zupełnie innego niż standardowy – noszenie ławek i krzeseł, zaklekanie okien w sali służącej za fotobudkę, rozwijanie przedłużaczy, przesuwanie materacy w sleeproomach, rozstawianie serwera akredytacji i ogrom innych niezbędnych zajęć. Wieczorem zazwyczaj otwierana jest też akredytacja dla przyjezdnych, często będących również wystawcami, zaś najintensywniejsza faza

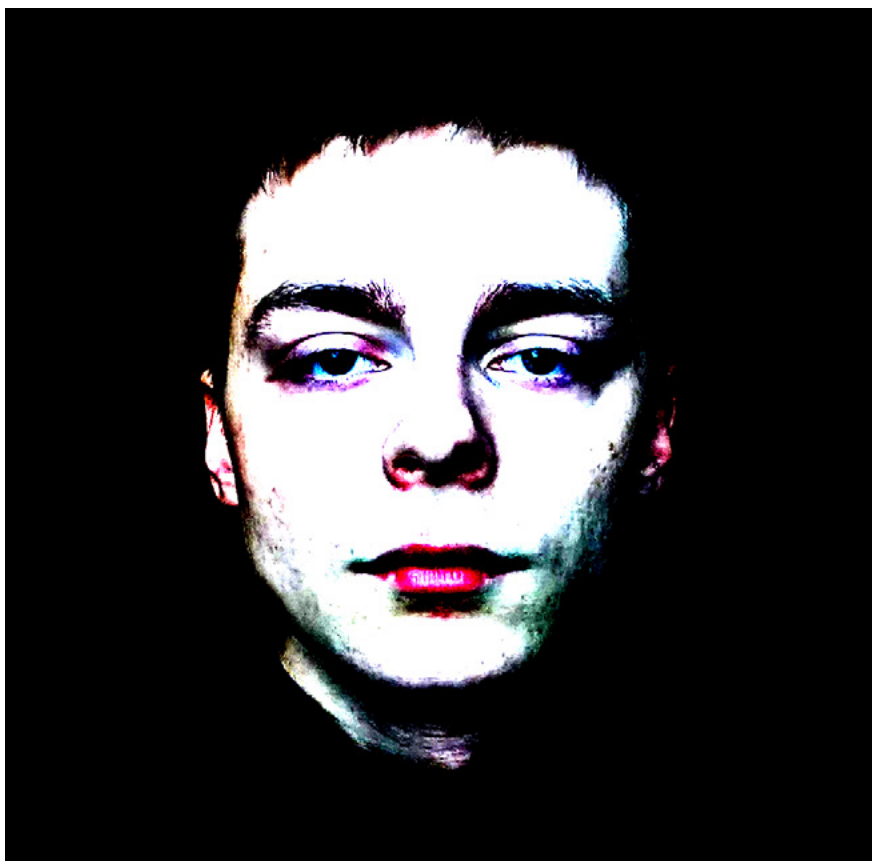
ma miejsce dopiero następnego dnia późnym rankiem. I w tym momencie muszę się przyznać, że nie do końca wiem, co się dzieje gdzie indziej, bo zawsze jestem zajęty obsługą kilkudziesięciu, do kilkuset uczestników i przez dobre trzy godziny nie ruszam się z miejsca, zaś gdy już skończy się mój dyżur w największym ogniu, to całe wydarzenie jest już od dawna na pełnych obrotach. Na tym etapie najwięcej pracy mają helperzy wraz ze swoim koordynatorem – odpowiadają na pytania zagubionych uczestników, roznoszą wodę prelegentom, dostawiają brakujące krzesła, uzupełniają papier toaletowy, zgłaszają problemy organizatorom, którzy starają się być zawsze dostępni i znać albo odpowiedź na pytanie, albo wiedzieć, gdzie jest inny organizator, który tej odpowiedzi jest w stanie udzielić. Samym organizatorom również zdarza się czasem prowadzić niektóre atrakcje, jak na przykład turniej karaoke czy niektóre prelekcje. Gdy już zapadnie noc, zawsze jest co najmniej jeden organizator czuwający na dyżurze. Kiedy wydarzenie się zakończy i uczestnicy z wystawcami się rozjadą do swych domów, organizatorzy z helperami pozostają na miejscu, by ramię w ramię przywrócić szkołę do zwyczajnego stanu poprzez odniesienie każdej ławki na jej pierwotne miejsce i skrupulatne wyszorowanie każdego śladu po bucie, każdej utyłanej, lepiej nie wiedzieć czym, kafelki w łazienkach. Takie zwijanie wydarzenia kończącego się o godzinie dziesiątej, potrafi trwać do dziewiętnastej, a czasem i dłużej.

Jeśli zaś chodzi o moją twórczość literacką, to, na szczęście dla Czytelników, nie napisałem żadnej powieści poza serią „My Little Donkey”, za której pierwszą część chciałbym w tym miejscu szczerze przeprosić. Aktualnie od dłuższego czasu jestem w trakcie pisania drugiej części pt. „My Little Donkey i bocianie gniazdo”, ale idzie mi to niewybaczalnie powoli, gdzie naprawdę mało pocieszającą jest wizja tego, że zaplanowałem tę serię jako trylogię. Czasem napiszę jednak coś lżejszego w ramach konkursu krótkich opowiadań na Klubie Konesera Polskiego Fanfika. Ponadto, od wielkiego dzwonu zdarza mi się napisać jakiś wiersz, ale w znakomitej większości przypadków jest to coś zupełnie niezwiązanego z gadającymi pastelowymi taboretami.

V: I w jednym, i w drugim przypadku jest mnóstwo pracy. Co w obu przypadkach lubisz, a czego nie znosisz?

C: Za każdym razem, gdy o tym pomyślę, wydaje mi się to dość zabawne, bo raczej nie jestem ekstrawertykiem, ale uwielbiam widzieć, że przyczyniam się jakoś do tego, że ludzie dobrze spędzają czas. To jest ogrom włożonej pracy i poświęconych godzin kosztem snu, ale w pewny momencie konwent człowieka „sam niesie”, bo cała atmosfera po prostu się mu udziela. Oczywiście we wszystkich tego typu zlotach, niezależnie czy współorganizowanych przeze mnie, czy jedynie odwiedzanych, ogromnie cenię sobie możliwość spotkania się ze znajomymi – czasem z sąsiedniej dzielnicy, a czasem z drugiego końca kraju, gdzie jedzą ziemniaki na deser lub węgiel z mlekiem na śniadanie. Jest jednak jedna rzecz, której nie znoszę w organizacji wydarzeń i nie znoszę jej bardziej niż co niektórych helperów znikających przed sprzątnięciem. Rzeczą tą jest brak komunikacji. Generuje on ogromne opóźnienia, uczestnicy się denerwują, prelegenci mówią do pustych sal, helperzy męczą się bez potrzeby, zaś organizatorzy posuwają się do przemocy fizycznej wobec siebie nawzajem.

W pisaniu mojej przeniejciej powieści najbardziej lubię rozwijanie świata, kraju i kultury osłów, pochodzenia i myśli głównego bohatera czy też znajdowania długimi kwadransami najlepszych słów do przekazania danej



idei, zaś z całego serca nienawidzę wszelkich dziur fabularnych i wszelkich bezsensownych zdarzeń, które pozostawiłem w pierwszej części, i których skutki muszę łątać do dziś. Z „wierszykami” nie mam na szczęście takich problemów, ale za to wracając co jakiś czas do mojego wyczynu poetyckiego sprzed lat patrzę, czytam i się załamuję nad jego treścią. Forma dobra, ale treść wprost rozbraja.

V: Skupmy się teraz na Twojej powieści- skąd wzięła się pomysł?

C: O rety, to jest dopiero trudne pytanie. Wszystko zaczęło się, gdy w ferie zimowe 2012 postanowiłem stworzyć własnego kucyka (wtedy nie znałem jeszcze określeń OC ani ponysona). Poszukałem w Internecie wizerunku Big McIntosha oraz bliżej nieokreślonych pegazich skrzydeł, przyłożyłem do monitora kartkę w kratkę z notesu A4, ołówkiem skopiowałem część zarysu i koślawo dodrapałem resztę, łącznie z wymyślonym przeze mnie znacznikiem w postaci tarczy słońca z trzema promykami. Wieczorem, w pierwszy czwartek po feriach zeskanowałem to arcydzieło w celu jego dalszej obróbki w GIMP-ie (o istnieniu Pony Creatora generalzoi dowiedziałem się dopiero miesiąc później), tym samym uzyskując najstarszy istniejący plik, mający jakikolwiek związek z Sunnym Rayem. Jeszcze zanim to nastąpiło, napisałem na szybko piórem coś, co można by nazwać „kartą postaci” oraz streścić w słowach: „lubiący czytać i majsterkować osioł, który był bardzo samotny i gdzieś mu wcięło rodziców, więc opuścił swoją rodzinną krainę, by odnaleźć drogę do Equestrii, gdzie zakochał się we Fluttershy i przez księżniczkę został zamieniony w pegaza”. Jakiś tydzień później zacząłem pisać zmierzające do tego opowiadanie (nie znałem wtedy jeszcze wyrazu fanfik) pt. „My Little Donkey czyli Historia Sunny’ego Ray’a” (sic!), a dokładnie jego pierwsze sześć „rozdziałów” (wymiarowo będących łącznie równoważnymi jednemu z moich „współczesnych” rozdziałów), po czym wysłałem je na skrzynkę mailową bloga znajdującego się pod adresem mylittlebrony.blogspot.com. W tym czasie trochę bardziej uaktywniłem się w różnych kucykowych społecznościach na Facebooku, tym samym odkładając tę pracę literacką do zamrażarki aż do wakacji. Gdy już nastał ten upragniony czas wolny od zajęć, przysiadłem na nowo nad tematem mojego pastelowego osłopegaza. Zmieniłem mu barwy z odcieni szarości na bładożółto-rude, postawiłem twardą linię podziału pomiędzy mną, a moją postacią i postanowiłem opisać jej dalszą

historię w trochę mniej dziecinny sposób, co zajęło mi z przerwami kolejne trzy lata. Z każdym kolejnym rozdziałem pisanie szło mi coraz lepiej, w szczególności opisy czynności czy przeżyć lub przemysleń postaci. W czerwcu 2015 roku zakończyłem pisanie pierwszej części, którą przemianowałem na „My Little Donkey i bociani sen”, jednocześnie już myśląc wstępnie o kontynuacji, którą z bliskim zeru sukcesem skrobię po dziś dzień.

V: Na jakim etapie drugiego rozdziału jesteś obecnie? I czy mógłbyś zarysować fabułę naszym Czytelnikom?

C: Cała planowana trylogia ma na celu przedstawienie życia tytułowego młodego osła o personaliach Sulari Rađ, który wychował się w szarej stolicy smutnej republiki osłów i od małego czuł, że tam nie pasował. Jego ojciec posiadał bogaty księgozbiór, z którego młody ogier dowiedział się o istnieniu szczęśliwego kraju o nazwie Equestria. Gdy u progu dorosłości został sam i bez stałego zajęcia po opuszczeniu koszar, przypomniał sobie o tych historiach i postanowił udać się do owej krainy. Gdy po długiej wędrówce przez góry i lasy dotarł do pierwszej zamieszkałej miejsciny – Ponyville, gdzie spotkał Twilight, której się łamaną ekwestriańszczyzną przedstawił jako Sunny Ray. Następnie ma miejsce zupełne dno fabularne w postaci poznawania reszty głównej szóstki, po którym zaczyna się rozwijać zauroczenie pomiędzy głównym bohaterem a bładożółtą pegazicą.



W swoim regularnym raporcie uzdolniona jednorozec wspomniała o intrygującym gościu z „Asinestrii”, co nie umknęło uwadze księżniczki Celestii, która w odpowiedzi zaprosiła ich wszystkich na zamek, gdzie archiwa również rzuciły pewne światło na pochodzenie osła. Wizyta w pałacu wraz z mocą Twilight i życzeniem Pani Dnia wyzwoliły przemianę Sunny’ego w pegaza, który osiedlił się na skraju miasteczka, zatrudnił na stanowisku miejskiego inspektora dozoru technicznego oraz ostatecznie wyznał Fluttershy swoje uczucia. Koniec części pierwszej, nie należy czytać bez odpowiednich środków ochrony osobistej (młodszym Czytelnikom polecam czekoladę Alpen Gold Nussbeiser, starszym zaś Cydr Lubelski).

W drugiej części staram się skupić na życiu Sunny’ego, jako mieszkańca Ponyville, jednocześnie pokazując, co nim kieruje, co siedzi w jego głowie i sercu. „My Little Donkey i bocianie gniazdo” opowiada rok z życia Sunny’ego. Odsuwam tam większość serialowych postaci pierwszego planu w cień, by zrobić więcej miejsca dla postaci tła, sąsiadów, współpracowników czy sklepikarzy. Bła-douchy pegaz rozwija swoje skrzydła w dorosłym życiu, odnajdując swoje miejsce w świecie jako entuzjastyczny pracownik naukowy. Dwudziestoczteroletniego ogiera czekają codzienne niepewności i rutyny, jak i duże zmiany pociągające za sobą nowe wyzwania. Aktualnie kończę pisanie drugiego rozdziału, z dwunastu zaplanowanych.

Poważnie rozważam też napisanie trzeciej części pt. „My Little Donkey i bociani tron”, której celem będzie wyjaśnienie okoliczności związanych z młodością osła, o wiele większe przybliżenie postaci jego rodziców i ich spojrzenia na świat, w którym było im dane wychować syna, jak i dość istotny, głębszy powrót do Asinestrii. W części tej planuję z jednej strony zamknąć rozwój postaci poprzez zrealizowanie przez pegaza jego Opus Magnum, z drugiej zaś – „przymknąć” przedstawiony świat jego śmiercią w epilogu.

Bardzo mocno się jednak obawiam o losy tej serii i szczerze wątpię, że uda mi się ją dokończyć przed powstaniem piątej generacji MLP.

V: Co myślisz o generacji piątej? Jak wpłynie ona na markę My Little Pony?

C: Tak naprawdę, odnośnie G5 nie możemy mówić o żadnych pewnikach, ale jeśli pytasz o moje

odczucia na temat materiałów, które miały okazję wyciec dłuższy czas temu, np. projektów postaci i różnych poszlak, to nie mam ich zbyt wiele; ot, kolejna inkarnacja jednej z dwóch sztandarowych marek potentata zabawkarskiego o nazwie Hasbro. Jeśli pytamy o jej wpływ na markę My Little Pony, możemy szukać odpowiedzi u Transformersów, które mają obecnie już piąty serial animowany w tym samym przedziale czasowym, co MLP:FiM. Kolejne dzieciaki nadal kładą się przed ekranami telewizorów, po czym proszą o figurki tych robotów na święta. Nic nowego. Pod względem marki My Little Pony w żadnej mierze nie ucierpi, a może nawet i zyska szerszą grupę docelową, kto wie. Pamiętajmy, bronies nigdy nie byli, nie są i nigdy nie będą w oczach decydentów giganta z Rhode Island stroną, której widzimisię miałoby jakiegokolwiek znaczenie.

V: Jak myślisz, czy obecny fandom jest w stanie zaakceptować nowe Mane6, które właśnie powstaje w studiach Hasbro?

C: W mojej opinii odpowiedź na to pytanie zależy od tego, o co właściwie pytamy. Lwia część fandomu pozostała w nim wszak dla innych ludzi i dla ich twórczości, nie zaś dla samego serialu. Niemniej jestem przekonany o tym, że najhardsi miłośnicy serialu o pastelowych koniach nie będą w stanie zaakceptować nowego projektu i nowych ról nadanych postaciom, przez co społeczność ulegnie podziałom w tej sferze, ale to już widzieliśmy i przy Twilicornie, i przy dość przeciętnej serii faników pt. „Equestria Girls”.

V: Myślisz, że polityka magnata zabawek z USA(?) (Hasbro) względem fandomu (mam tu na myśli brak komunikacji/wymiany zdania, a także bronienie praw, przez co upada wiele fanowskich projektów) jest prawidłowa? Czy studio mądrze wybrało ścieżkę prowadzącą jedynie do młodszych widzek, które nie mają więcej niż 10 lat?

C: Biorąc pod uwagę, że w samych Stanach Zjednoczonych jest mniej więcej tyle dziewcząt w wieku 5-10 lat, ile szacuje się, że na całym świecie jest łącznie bronies (gdzie duża część z nich nie jest zainteresowana oficjalnymi produktami), uważam, że kierowanie swojej oferty do tej grupy docelowej, którą wybrało Hasbro, jest jak najbardziej słusznym posunięciem. Głównym celem przedsiębiorstwa nie jest życie w symbiozie, wspólnym szczęściu i radości z miłośnikami jednorozców z krainy tęczy, a za-

rabianie pieniędzy. Marnowanie zasobów (w tym i czasu pracowników odpowiedzialnych za kontakt z klientem czy prasą) na to, by grupka pasjonatów nieprzynoszących zysków była zadowolona, byłoby nieodpowiedzialne. Co do bronienia praw, musimy pamiętać, że mówimy tu o kilku różnych kwestiach. Z jednej strony mamy do czynienia powszechnie z rozpowszechnianiem przez fanów odcinków serialu bezpośrednio, w formie tłumaczeń lub filmików z reakcjami, a dodatkowo kilka lat temu miał miejsce wyciek pacynek i wektorów ze studia DHX, po którym na YouTube zaczęły pojawiać się fanowskie animacje o stylu łądząco podobnym do serialowego – tu mówimy wprost o naruszaniu praw autorskich firmy Hasbro, poprzez nieuprawnione korzystanie z ich własności intelektualnej. W drugim przypadku również z ich własności objętych tajemnicą handlową, gdzie obu tych rzeczy każdy artysta i każde przedsiębiorstwo ma prawo chronić. Kolejną kwestią jest wykorzystanie zastrzeżonych znaków towarowych, których ochrona jest obowiązkiem ich właściciela, jeśli ceni sobie on do nich prawa. Nie mogą sobie pozwolić na to, by jakkolwiek strona trzecia czerpała z nich zyski bez ich wyraźnego pozwolenia. Hasbro teoretycznie mogłoby zgodnie z prawem zająć się również i artystami fanowskimi sprzedającymi wszelkiej maści gadżety z postaciami MLP:FiM, ale raczej z racji liczby tych artystów byłoby to zbyt dużym wydatkiem. Hasbro ma takie samo pełne prawo do decydowania o losie własnych dzieł, co ja i ty.

V: Ciekawie to podsumowałeś. Jak Ty odnosisz się do samej przyszłości fandomu oraz jego „ludzkiej” części?

C: Porcelanka mogłaby tutaj zaświadczyć, że moją standardową odpowiedzią na podobne pytanie jest: „nareszcie umrze, nie mogę się tego doczekać”, ale to taki półzart. Sam fandom oczywiście czeka pewna zmiana, choć niełatwo mi dokładnie przewidzieć, jaki przyjmie ona tok. Po pierwsze, już od kilku lat można zauważyć, że aktywność fandomu się stopniowo ochładza i raczej zakończenie czwartej generacji nie zwiastuje odwrócenia tego trendu. Po drugie, jak już wspominałem wcześniej, po wejściu piątej generacji może dojść do pewnego dość istotnego podziału i wykształcenia się czegoś, co nazywam „grupą rekonstrukcyjną” – znacznej części fandomu nieuznającej nowej generacji za część ich kucykowego świata. Ale przy tych wszystkich rozmyślniach zawsze mam jednak na uwadze to, że nawet, gdy fandom już w końcu zdechnie, to nie znaczy, że zerwane zostaną wszelkie nawiązane przez te lata znajomości. Po wejściu piątej generacji nie mam zamiaru przestać się odzywać do Ciebie, Moon, Oliviy, Sarnny czy MK, nie o to tu przecież chodzi. Fandom może się skończyć, ale ludzie z tego powodu nie znikną.

V: Ciężko się z Tobą nie zgodzić. A co robisz, gdy nie zajmujesz się pracą czy kucykami?



C: Mój czas, w którym nie zajmuję się pracą ani kucykami, jest wypełniony głównie studiami i snem, przy czym chciałbym podkreślić, że te dwie rzeczy mogą się ze sobą pokrywać. Na uczelni idzie mi średnio, co na początku stanowiło dla mnie swoiste zderzenie ze ścianą. Pozwolę sobie w tym miejscu na udzielenie rady Czytelnikom: jeśli przez wszystkie szkoły po kolei jakiś duży zbiór zagadnień wchodził Wam do głowy zupełnie bez problemu i bez żadnego powtarzania czy samodzielnego ćwiczenia materiału, to na studiach może zabolęć. Lepiej wcześniej nauczyć się uczyć, niż później być mną i dużo umieć, ale musieć powtarzać całe przedmioty. A, jeśli ma się do wyboru uganianie za dziewczynami lub uczenie matmy, to pierwsza opcja raczej nie jest tą słuszną. Nie wątpię jednak, że pytanie mogło dotyczyć tego, czym się zajmuję prywatnie, poza fandomem i obowiązkami. W takim razie: w wolnym czasie rozwijam swoje drobne projekty związane głównie z programowaniem, choć w minione wakacje dołączyła do tego elektronika. Robię różne mniejsze czy większe aplikacje na swój własny użytek (jak na przykład internetowy system kontroli moich finansów), o wiele rzadziej strony internetowe (treść mojej własnej – w przeciwieństwie do formy – nie była aktualizowana od kilku lat), ale najwięcej frajdy sprawia mi faktyczne składanie czegoś od podstaw lub też rozkładanie istniejących produktów na czynniki pierwsze i przerabianie ich po swojemu, co – niestety – jest bardzo czasochłonne, przez co w roku akademickim trudne w realizacji. Tym samym „w zamrażarce” leżą u mnie m. in. obsługujący łączność komórkową samodzielny sterownik do tablicy kierunkowej LED, zestaw ułatwiający tworzenie programów wykorzystujących wewnętrzne elementy systemu Windows niezgodnie z przeznaczeniem i jeszcze kilka pomniejszych pomysłów w różnych fazach realizacji. Miałem kiedyś nawet okazję zrobić własny font pikselowy, a nawet pomóc przy rozwoju 3D Pony Creatora oraz jednego z menedżerów plików firmy Microsoft. Niestety, moje dwa flagowe projekty – prosty system operacyjny ShyOS oraz kompilator języka ZDZICH (przysięgam, to nie jest nazwa wymyślona przeze mnie) uległy większościowemu zatraceniu w dawnych czasach, gdy jeszcze nie robiłem kopii zapasowych. Oba staram się w kolejne wakacje wskrzesić, ale bez większego skutku. Jeśli zaś mowa o zajęciach i zainteresowaniach niezwiązanych z moją przyszłą ścieżką zawodową, to lekko interesuję się naziemnym transportem zbiorowym, w szczególności rozwojem kolei, językami, jak również polityką lokalną, przy dość częstym marzeniu

o zrównaniu Warszawy z ziemią. Gdy mam tylko chwilę wolnego czasu, to często zdarza mi się robić tabelki, wykresiki, zestawienia, listy, grafiki, plany, prognozy... Ogólnie dajcie mi notes, kalkulator i pióro (oraz ewentualnie komputer z programem Excel), a skutecznie wypełnię sobie czas. Oprócz tych wszystkich wymienionych przeze mnie zajęć, udzielam się też w mojej rodzinnej parafii jako ministrant (tak, nadal nie awansowałem; zawsze, jak był kurs lektorski, to mi nie pasował termin). Czasami odnoszę wrażenie, że mam za dużo zajęć, a jednak zdarza mi się nudzić. Oliva z Tribrony i BT sugeruje, że miałbym więcej czasu, gdybym spędzał go mniej na robieniu tabelek mających na celu jego organizację.



V: Wcześniej wspominałeś, że studiujesz i pracujesz w pewnym amerykańskim gigancie komputerowym z niebieskim logo. Dlaczego zdecydowałeś się na informatykę, a nie np. inżynierię pojazdów lądowych lub tego podobne?

C: Z każdym kolejnym semestrem zadaję sobie dokładnie to pytanie. Z najlepszym kumplem z grupy dziekańskiej często się nawet śmiejemy, że powinniśmy rzucić to wszystko i zrobić szkołę na zostanie maszynistą. Ostateczną decyzję o kształceniu się w kierunku zawodu programisty podjąłem w po-

łowie gimnazjum, gdy jeszcze interesowałem się kilkoma innymi dziedzinami, jak np. chemia (rozważałem farmację). Programowaniem zająłem się po raz pierwszy w bodajże czwartej klasie szkoły podstawowej, zaś do grzebania (i psucia) głęboko w komputerze miałem dryg już w zerówce. Jako, że było to tak dawno i tak wcześnie, to w ogóle nie pamiętam, skąd mi się to wzięło. Pamiętam jednak, że gdy na koniec gimnazjum przymierzałem się do wyboru odpowiedniej klasy licealnej, stwierdziłem, że spośród wszystkich moich zainteresowań, to komputery są zainteresowaniem najstarszym, największym i mającym szansę na przyniesienie w przyszłości największych pieniędzy.

V: Co sądzisz o poziomie branży informatycznej na terenie Polski? Czy polecasz innym ten kierunek?

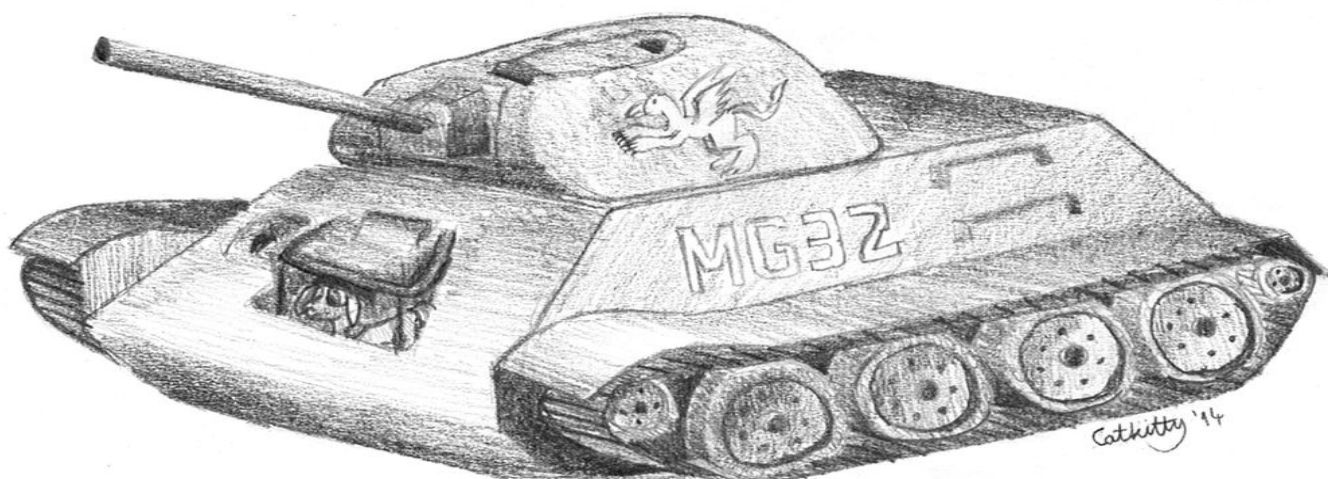
C: Jeśli chodzi o poziom firm informatycznych w naszym kraju, to zarówno z własnego doświadczenia, jak i rozmów ze znajomymi z innych województw czy też z czytania różnych forów i artykułów na ten temat, pokuszę się o stwierdzenie, że jest to dobry poziom. Mamy dobrze wykształconych specjalistów, dużo większych i mniejszych firm pokrywających swoimi usługami wszelkie dziedziny i sektory rynku, jak również dobre wynagrodzenia w zestawieniu z kosztami życia (nie są to płace zachodnie, ale osobiście nie chciałbym płacić czynszu ani rat kredytu studenckiego w okolicach Zatoki San Francisco).

Zupełnie inną kwestią są klienci krajowi, z których najwięksi często są w jakiś sposób powiązani ze spółkami skarbu państwa lub bezpośrednio z organami władzy, które choć podejmują mnóstwo wartych zauważenia kroków w dobrą stronę, to nadal wymagają sposobów prowadzenia projektu odbiegających znacznie od przyjętych obecnie w programowaniu metodologii.

Czy polecam studia informatyczne? Jeśli ktoś jest zainteresowany rozwojem i pracą w tej dziedzinie, to jak najbardziej. Polecam o wiele bardziej niż wszelkiej maści trzydziestodniowe kursy języka Java czy inne bootcampy. Należy jednak mieć na uwadze, że studia te nie mają na celu uczyć kodzenia, tylko zrozumienia działania całego systemu komputerowego i sieci oraz każdego z jego elementów, jak i całego procesu wytwarzania oprogramowania, więc materiału jest dużo i większość z niego raczej nie zainteresuje. No, ale po takich studiach (a również w ich trakcie, choć szczerze odradzam łączenie studiów dziennych na informatyce z pracą w tym zawodzie) o dobrą pracę naprawdę nietrudno.

V: Wcześniej wspomniałeś też o pasji do kolei. Czy jedno z drugim (informatyką) można połączyć tak, aby znaleźć dobrą pracę?

C: Tak, jak najbardziej można. W samej Polsce mowa głównie o spółkach Grupy PKP, których flagowym przypadkiem jest PKP Informatyka, zajmująca się m. in. utrzymaniem systemu rozkładu jazdy i informacji pasażerskiej, systemów sprzedaży i rezerwacji biletów czy obsługi przesyłek towarowych i poszukuje pracowników w Warszawie, Łodzi i... O, również w Krakowie! Poza tym, na zeszłorocznych targach pracy na Politechnice Gdańskiej pojawili się mili ludzie z PKP Intercity, którzy poszukiwali wtedy programistów w Szczecinie. Elektrycy i telekomunikanci są za to niezbędni w spółce PKP TELKOL. Ofert łączących te dwie dziedziny jest naprawdę niewiele, ale trafiają się. Po zatrudnieniu jest się wtedy informatykiem-kolejarzem.



V: Myślisz nad pójściem w tym kierunku?

C: Szczerze wątpię. To jest bardzo wąska liczba ofert – mały wybór pracodawców i miast. No i ogólnie nie jest to ten rodzaj programowania, który mnie najbardziej interesuje.

V: A jaki rodzaj jest Twoim ulubionym?

C: Najbardziej lubię programowanie systemowe. Sterowniki urządzeń, oprogramowanie układowe, systemy wbudowane, usługi systemowe. Nie jest to popularny zakres zainteresowań informatyków (rynek pracy na tych stanowiskach został przez to w dużej mierze opanowany przez elektroników i automatyków) i przygody z nim są dość żmudne, ale jest to dokładnie ten rodzaj dłubania w kodzie, który uwielbiam.

V: Na czym dokładnie polega ta dziedzina informatyki?

C: O rety, jak to w prostych słowach... W uproszczeniu jedną z możliwych klasyfikacji rodzajów oprogramowania jest podział na oprogramowanie aplikacyjne i systemowe. Oprogramowanie aplikacyjne to takie, w którym tworzy się coś, z czego bezpośrednio korzysta użytkownik, np. edytor tekstu, stronę internetową, komunikator czy grę komputerową. Oprogramowanie systemowe nie ma bezpośredniego kontaktu z użytkownikiem (ja też bym nie chciał mieć z nim bezpośredniego kontaktu), mając jednocześnie kontakt ze sprzętem i innymi programami. Przykładem takiego oprogramowania są np. system operacyjny, sterownik karty graficznej i silnik gier. Programowanie systemowe wymaga znajomości specyfiki sprzętu, a często również wiąże się z pracą z ograniczonymi zasobami. Aktualnie pracuję w dziale odpowiedzialnym za wytwarzanie oprogramowania układowego. Jest to specjalizowany program odpowiedzialny za działanie poszczególnych urządzeń, np. podzespołów komputera. Oprogramowanie to cechuje się małymi rozmiarami, dużymi ograniczeniami i pełnym brakiem jakiegokolwiek interakcji z użytkownikiem.

V: Jednym słowem – jest niezbędny do działania, lecz nie widzimy go gołym okiem. Na moje oko, jest to dziedzina rozwijająca się i będąca na topie, nieprawdaż?

People with no idea about AI, telling me my AI will destroy the world

Me wondering why my neural network is classifying a cat as a dog..



C: Rozwijająca się – jak najbardziej. Czy na topie? Nie powiedziałbym. O wiele częściej i szumniej mówi się o tworzeniu aplikacji mobilnych czy stron internetowych, zaś przede wszystkim – sztucznej inteligencji. Każde z nich jest zagadnieniem dość medialnym. Oprogramowanie systemowe czy „firmware” (oprogramowanie układowe) zaś jest, jak to ujęłaś, niezbędne do działania (nie uruchomi się bez niego żadne urządzenie komputerowe, od smartwatcha po klaster obliczeniowy w serwerowni) i zupełnie nierzucające się w oczy (chyba, że przestanie działać). Kilka miesięcy temu, w firmie mieliśmy szkolenie i prowadzący je stwierdził, że na całym świecie jest kilka tysięcy programistów rozumiejących tak naprawdę, czym jest firmware. Sam mam duży problem z wyjaśnieniem komuś nieinformatycznemu (a czasem i informatycznemu), czym właściwie się zajmuję. Jest to swoista nisza, która jednak potrzebuje ludzi. I tam właśnie czuję się najlepiej.

V: Wspomniałeś o sztucznej inteligencji. Osobiście mam co do niej mieszane uczucia, ale co Ty o niej sądzisz zajmując się tym na co dzień? Czy scenariusze z filmów SF o robotach niszczących ludzką cywilizację mogą się ziścić?

C: Ludzka cywilizacja nie potrzebuje pomocy żadnych robotów, żeby się zniszczyć. Co tyczy się zaś sztucznej inteligencji, jest to bardzo szeroka dziedzina i bardzo często zdarza się, że korzystamy z jej osiągnięć, zupełnie o tym nie wiedząc. Wykorzystuje się ją powszechnie do generowania odpowiedzi przy wpisywaniu tekstu na telefonie czy fraz w wyszukiwarce, jak i do rozpoznawania i syntezy mowy. Od dłuższego czasu już, klasycznym zastosowaniem jest chociażby kategoryzacja obrazów, będąca też częstym tematem żartów wśród studentów informatyki. „Kiedy ludzkość obawia się, że sztuczna inteligencja wszystkich pozabija, ja zastanawiam się, dlaczego moja sieć neuronowa twierdzi, że na zdjęciu kota znajduje

się pies". Z mojej strony mogę przyrzec, że żadna moja sztuczna inteligencja nigdy nie skrzywdzi nikogo, prócz mnie, bo niedawno opłacałem warunek z tego przedmiotu.

Oczywiście, obecnie na topie są wszelakiej maści autonomiczne pojazdy – samochody, taksówki. Miło by było patrzeć, jak ziszcza się wizja miasta przyszłości, w którym transport zbiorowy i indywidualny działa jako sieć wzajemnie komunikujących się pojazdów, które same dbają o odpowiednią płynność ruchu i zachowanie bezpieczeństwa. Do takiego miasta jednak jest jeszcze długa droga, w czasie której należy rozwiązać mnóstwo problemów natury technicznej, administracyjnej, społecznej, a nawet etycznej.

Czy scenariusze o buncie maszyn mogą się ziścić? Wątpię, by groził nam czas Ultrona czy inna katastrofa tego rodzaju, wizja sztucznej inteligencji, która wymyka się ludzkiej kontroli. Pamiętam jednak wciąż o tym, że każda sprawna technologia może być też użyta do prowadzenia wojen czy ograniczania praw. Siekierą można narąbać drwa na ogrzanie domu rodzinnego zimą, ale równie dobrze można nią kogoś uśmiercić. Nie widziałbym zagrożenia w samej sztucznej inteligencji, a w decyzjach rządów i korporacji, które z niej mogą korzystać.

V: A co myślisz o tym całym globalnym ociepleniu oraz innych skutkach wyniszczającego działania ludzi? Czy technologia i, wcześniej opisana przez Ciebie, sztuczna inteligencja są w stanie naprawić wszystkie szkody?

C: W mojej opinii tu nie za bardzo jest o czym myśleć. Działalność człowieka jak najbardziej pozostawia ogromne piętno na stanie środowiska i ludzkość powinna dążyć do zminimalizowania negatywnego wpływu. Postęp technologii dobrze spożytkowany jak najbardziej może przyczynić się do poprawy sytuacji. W szczególności mam tu na myśli odchodzenie od wykorzystania paliw kopalnych na rzecz atomistyki i źródeł odnawialnych. Czy sztuczna inteligencja może w tym pomóc? Jednym z zastosowań tej dziedziny jest poszukiwanie optymalnych rozwiązań problemów – w tym jak najlepszego wykorzystania zasobów. Sieci pojazdów autonomicznych o wiele łatwiej wytyczyć optymalne trasy i zmiany prędkości, a w konsekwencji zmniejszyć zużycie energii, niż setkom kierowców. Nie sądzę, że uda się tym

sposobem naprawić wszystkie szkody, ale na pewno da się tak zapobiec kolejnym.

V: Czy chciałbyś coś jeszcze powiedzieć naszym Czytelnikom?

C: Chciałbym wszystkim Czytelnikom serdecznie podziękować za to, że tak chętnie i pilnie nas czytają. Jednocześnie chciałbym ponownie uspokoić mówiąc, że ani ich przyjaciele i znajomi nie znikną wraz z serialem, ani też nie grozi nam w najbliższym czasie krwawy bunt maszyn. No i koronachaos też się przecież kiedyś skończy (czego wspólnie z szanowną panią Redaktor usilnie oczekujemy). Polecam pilnie i systematycznie się uczyć, słuchać tych, którzy mieli już okazję popełnić dużo błędów oraz rozwijać swoje talenty i pasje. No i oczywiście wszystkich zainteresowanych zachęcam do spróbowania swoich sił w naszej redakcji!





EQUESTRIA Puść Wodze Fantazji

WYRUSZ NA PRZYGODĘ W ŚWIECIE KUCYKÓW!





Cahan – Matka Rosiczek, Postrach Fanfikowców, silna i niezależna kobieta, która sama otwiera słoiki i ma dwa koty. W fandomie znana jako kiepski rysownik, średni pisarz i krytyk literacki. Słynna jako anatomynazi. Za „parzystokopytne kuce” morduje bez wahania przy pomocy puszek orzeszków, wrednych kobył i miecza z karimaty. Prywatnie lubi expić na kompie i w realu.

Defekacja na dywan Czyli jak zrobić na złość mamie

Żyjemy w ciekawych czasach. Znaczący, każde czasy są ciekawe, ale pandemia COVID-19 zmieniła życie wszystkich Polaków. Szkoły zostały zamknięte, podobnie jak wiele firm. Państwo wprowadziło też mnóstwo obostrzeń, których zgodność z prawem jest tematem spornym, ponieważ nie wprowadzono stanu klęski żywiołowej i nie odwołano wyborów prezydenckich, a dodatkowo wielu polityków partii rządzącej nie przestrzega swoich własnych zaleceń. Stąd też jak grzyby po deszczu zaczęli wychodzić wkurzeni obywatele.

Do napisania tego felietonu skłoniła mnie sprawa pewnej pani z Olsztyna, która na swojej drodze spotkała policjantów i postanowiła zgrywać chojrakę, co skończyło się standardowym „policja mnie bije”, tzn. skuli ją, powalili na ziemię i trzymali tak długo, aż księżniczka raczyła podać dane osobowe. A takich jak ta pani jest mnóstwo. Ludzie nie chcą podawać policji swoich danych ani informacji, czemu nie siedzą w domach, tak jak powinni. Wolą stosować zagrywkę #icomizrobicie, a potem odwalić zdziwionego Pikachu i babę krzyczącą na kota, kiedy jednak coś robią. Zdradzę Wam sekret: nawet jeśli wierzycie, że policja nie ma prawa mówić Wam, jak macie żyć, to macie obowiązek podać swoje dane. Najwyżej nie przyjmiecie mandatu i sąd to rozstrzygnie. Ale jeśli naprawdę chcecie oszczędzić nerwów sobie i policji, to po prostu odpowiadajcie na pytania, zamiast cwaniaczkować i wdawać się w pyskówki.

Ale abstrahując od zgodności z prawem, te nowe przepisy powstały po coś i wbrew pozorom nie po to, by gnębić obywateli, ale z tego względu, że choć Polska z epidemią radzi sobie nie najgorzej, to tylko dlatego, że ograniczono jej przebieg poprzez obostrzenia. A szpitale i tak są pełne, a biały personel ledwo wyrabia. Spacerzy, ławeczki (wirus utrzymuje się na nich przez jakieś 3 godziny) i szwendanie się sprawiają, że liczba zarażonych

drastycznie wzrośnie i skończą się miejsca pod respiratorami, a wielu Waszych bliskich szybciej zostanie trupami. Ale co tam pandemia, co tam duszenie się na śmierć, liczy się wolność! I to, że prezes poszedł na cmentarz.

Chcę, żeby wszyscy zrozumieli, że bunt przeciwko mądrym zaleceniom, tylko dlatego, że partia rządząca jest, jaka jest, jest jak defekacja na własny dywan, żeby zrobić na złość mamie. Mama pójdzie do innego pokoju, a my zostaniemy ze smrodem. A co do chodzenia do lasów – słuchajcie, melepety, jest wysokie zagrożenie pożarowe, a to, że jacyś durnie wypalają trawy, sprawia, że pożary szaleją. Czytelnicy, pomyślcie trochę i nie utrudniajcie życia służbom oraz medykom. Oni naprawdę nie siedzą w kieszeni PiSu i są takimi samymi ludźmi jak Wy. Dlatego zostańcie w domach, jeśli możecie, i czytajcie Equestria Times. A jeśli nie macie co robić, to rekrutacja do nas jest cały czas otwarta!



Lubisz czytać fanfiki i o nich dyskutować?

Chciałbys zrobić coś dla literackiego półświatka fandomu?

Masz trochę wolnego czasu i nie wiesz jak go zagospodarować?

Klub Konesera szuka nowych moderatorów.

Mile widziane są osoby ogarnięte, potrafiące podtrzymywać dyskusję.

O więcej informacji możecie zapytać na serwerze Klubu.

Klub Konesera
Polskiego Fanfika



DISCORD



Obejrzenie „Kotów” było pomyłką

Filmowa adaptacja musicalu „Koty” jest uważana za jeden z najgorszych, jeśli nie najgorszy, film 2019 roku. Czy ta opinia jest uzasadniona? A może jednak „Koty” nie są takie złe?

» *Gray Picture*

Fabula i postacie

Muszę się przyznać, że nie widziałam musicalu, na podstawie którego powstał ten film, ale z tego co kojarzę, nie jest on najlepszym materiałem do zrobienia ekranizacji. Oba mają szczątkową fabułę, która głównie polega na tym, że kolejne postacie wchodzi na scenę i śpiewają o swoim życiu. W teatrze taka forma może być ciekawa, jednak film zrobiony w ten sposób był po prostu nudny. Przynajmniej w mojej opinii musicale wystawiane na deskach teatru nie muszą mieć aż tak dobrej fabuły, jeżeli sam śpiew i taniec dają radę.

Postacie też nie zachwycają. Przez to, jak zbudowana jest akcja, główna bohaterka przez większość czasu nie robi nic konkretnego. Ot, zaśpiewała ze dwie, może trzy piosenki, a resztę filmu biega za innymi postaciami i tańczy w tle. Przez to brakuje jej charakteru.

Muzyka

Kojarzycie to uczucie, gdy ktoś coś tłumaczy, ale myśli, że mówi do debila, więc tłumaczy to jeszcze raz i kolejny, i znowu? A potem jeszcze ze trzy razy? Mniej więcej tak się czułam przy kolejnych utworach, które

dłużą się niemiłosiernie. Jeszcze gdyby były fajnie zrobione, to okej, ale nie są. Przez większość czasu to raczej melorecytacja niż śpiew. Jedyne „Memory” wypada całkiem dobrze, ale mogło być lepiej. Skoro już zebrali całkiem niezłą obsadę, to aż smutne, że nie wykorzystano ich zdolności wokalnych.

Oprawa wizualna

Temu filmowi wyszłoby na dobre, gdyby zamiast wydawać pieniądze na np. Taylor Swift, której postać jest zupełnie bez znaczenia dla fabuły, mogli przeznaczyć więcej na oprawę wizualną. Może przez większość czasu jest ona poprawna, ale miejscami kuleje (jak np. w scenie z tańczącymi karaluchami).

Jeżeli chodzi o wygląd kotów, to xD. A tak bardziej na serio (w końcu to poważna gazetka o kucykach), to jeżeli twórcy chcieli stworzyć coś groteskowego, co sprawia, że przez cały seans widz zastanawia się, co jest nie tak z wyglądem postaci, to im się udało.

Irytuje też pewna niekonsekwencja. Raz koty wydają się większe, innym razem mniejsze. Jedne mają buty, kolejne są zupełnie nagie, a inne mają ubrane futra (nasuwa się pytanie, z czego są te futra?).

Czy polecam?

Jest wiele przyjemniejszych rzeczy niż oglądanie „Cats”. Mniej nudne byłoby, chociażby, oglądanie schnącej farby albo pogapienie się na sufit.



Statystycznie rzecz biorąc, czyli ile trzeba zjeść czekolady, żeby dostać nobla

Jestem takim dziwnym typem człowieka, który prawie umarł po usłyszeniu dowcipu o całce. Jak on brzmi? „Czemu całka wyszła z pociągu? Bo to nie był jej przedział”. Bo, rozumiecie, całki mają przedziały, tak samo jak pociągi!

» *Ghatorr*

Nie jest to może humor najwyższych lotów, a do tego jest tak hermetyczny, że aż strach, ale to właśnie on nakierował mnie na książkę Janiny Bąk pod tytułem „Statystycznie rzecz biorąc, czyli ile trzeba zjeść czekolady żeby dostać Nobla?”. Drugim ważnym czynnikiem, który mnie nakłonił do sięgnięcia po tę książkę, była sympatyczna grafika czekolady na okładce. Trzecim – rekomendacja koleżanki, której bardzo dziękuję, bo bez tego pewnie bym tej książki tak szybko nie kupił.

„Statystyka” to takie niemiłe słowo, które u przeciętnego człowieka budzi niezrozumienie, u przeciętnego studenta przedmiotów ścisłych popłoch, a u przeciętnego polityka czy innego menedżera dziką chęć wykorzystania jej dla własnych, niecznych celów. Mimo to Janina Bąk, wykładająca (i to nie kafelki, a właśnie statystykę) na uniwersytecie w Irlandii Polka, postanowiła napisać książkę, która ten temat by przedstawiła w sposób – o zgrozo! – prosty, łatwy, przyjemny i zabawny. Oprócz tego prowadzi kanał na Youtube, gdzie wrzuca ciekawostki o analizie danych i kotki. Jak widać, mamy tu do czynienia z osobą idealną do takiego zadania.

A jak sprawuje się efekt końcowy? Na tyle dobrze, że gdyby nie panująca niepodzielnie nad światem Plaga, to wcisnąłbym mój egzemplarz połowie znajomych w okolicy, a druga połowa by unikała wszelkich miejsc, gdzie bywam. Książka jest wypełniona po brzegi anegdotkami służącymi jako przykłady do kolejnych aspektów wiedzy o statystyce albo analizie danych. Czy student z nudów byłby w stanie się porazić prądem? Czy martwy łosoś przysłużył się nauce? Dlaczego po wyjściu na spacer z psem nie ma się z nim średnio trzech nóg (wbrew obiegu i błędnej opinii)? Ta książka doskonale tłumaczy wszelkie zawiłości tej nauki. Autorka bawi się w dialog z czytelnikiem, dzięki czemu nawet najdziwsze teorie są bezproblemowo szmuglowane do naszych mózgow. Co prawda, niektóre co bardziej hermetyczne dowcipy są suche niczym Sahara i wymagają natychmiastowej popitki, ale to dobrze, bo dzięki temu czytelnik nie ryzykuje odwodnieniem. Palmę pierwszeństwa dumnie tu dzierży matematyczny tygrys (to trzeba zobaczyć osobiście).

Nieważne, czy jest się laikiem czy też właśnie się obroniło magisterkę z matematyki i planuje nigdy w życiu już tego więcej nie ruszać – statystyka w formie podanej przez panią Bąk po prostu wchodzi gładko do głowy. Mamy tu do czynienia ze świetnie napisaną książką, która bawiąc, uczy. Pewnie znalazłyby się jakieś wady, ale nie udało mi się ich znaleźć. Może przy drugim czytaniu dam radę...



Przytyj z Equestria Times

Czas na kuchenne rewolucje

Zycie czasami pisze ciekawe scenariusze i tak było również tym razem. Widzicie, ten artykuł powstał, ponieważ Moon, robiąc okładkę, dała tymczasowe clickbaity do nieistniejących tekstów. Dlatego postanowiliśmy je stworzyć. Wybaczcie nam brak zdjęć do wielu przepisów, po prostu niekoniecznie przyrządzaliśmy dane potrawy akurat teraz. Musicie uwierzyć nam na słowo, że są dobre.

» Redakcja

Cahan

Kotlety schabowe, które sprawią, że znajomi będą Tobie poddani

Kotlety schabowe to danie, które zna każdy Polak, ale nie w takim wydaniu. Poniższy przepis na danie bogów krąży w mojej rodzinie od pokoleń i znacznie różni się od tego, który zna większość z Was, ale zdecydowanie warto dać mu szansę.

Składniki:

- schab wieprzowy – może być pokrojony lub cały
- mleko
- smalec
- cebula
- bułka tarta
- jajka
- sól, pieprz i świeży czosnek

Najpierw weź gotowe do rozklepania mięso na kotlety, ale zanim włożysz w ich obróbkę całą swoją nienawiść do świata, to odkrój wszystkie białe części, bo są po prostu paskudne. Tylko zrób to dokładnie! Następnie weź tłuczek i bij mięso tak, jakby to był Twój arcywrog. Tak, by Ci się wydawało, że zaraz będzie półprzeźroczyste – chcemy osiągnąć grubość sznycłową. A teraz wrzuć mięso do mleka i niech się w nim moczy przez minimum 2 godziny.

Wylej mleko i sięgnij po czosnek. Jeśli masz do niego wyciskarkę, to jesteśmy w domu, a jeśli nie, to git gud, you casul. Wyciśnij czosnek i natrzyj nim kotlety wedle uznania. Nie za dużo i nie za mało. Rozbełtaj jajko z solą i pieprzem i przygotuj sobie naczynie z bułką tartą, bo teraz się weźmiesz za panierowanie. Najpierw do jajka, potem do bułki.

Pokrój cebulę na grube talarki lub piórka, bo potrzebujesz jej, by puściła sok, a nie do jedzenia. Na patelnię wrzuc smalec, tak by cała jej powierzchnia pokryła się jego warstwą. Kiedy przyjdzie pora, wrzucaj cebulę, a następnie kotlety. Co jakiś czas przerzucaj. Pod sam koniec smażenia, kiedy nie będą już surowe, ale wciąż dość blade, dolej trochę wody. To zawsze intensyfikuje wrażenia, więc się na to przygotuj.

Gotowe, możesz jeść! Na koniec dodam, że nie zawsze leję wodę i dodaję cebulę, ale postanowiłam podzielić się wersją bez mojej modyfikacji. Wszystkie te zabiegi wpływają na miękkość mięsa oraz na brak jakichkolwiek twardych i żyłastych niespodzianek. Czysta wieprzowo-czosnkowa rozkosz.

Bazyliowe pesto (wiedzieliście, że pesto tak naprawdę czyta się pizdu? – przynajmniej na Cote d'Azur)

A teraz coś, co pewnie znaliście ze słoikowej wersji, niemającej wiele wspólnego z oryginałem. To danie nauczyłam się przyrządzać na południu Francji, niedaleko granicy z Włochami. Jest bardzo proste i smakuje o niebo lepiej niż bieda wersja ze słoika.

Składniki:

- świeża bazylia
- sól
- makaron (najlepiej typu tagliatelle)
- oliwa z oliwek
- ser typu parmezan
- świeży czosnek

Ugotujcie makaron i bierzcie się za sos. Zaczynjcie od bardzo drobnego posiekania czy wręcz zmielenia bazylii. Same liście, bez łodyg. Z doświadczenia powiem, że na pół standardowej paczki makaronu przypadają 2 doniczki. To teraz czas zmielić czy wycisnąć czosnek. Ile? Zależy od czosnku i tego, ile lubicie. Na te 2 doniczki osobiście dałabym 6 ząbków. Połączcie czosnek z bazylią i dolejcie oliwy – jakieś 4 łyżki albo i więcej, jeśli widzicie, że by się przydało. Gotowanie to nie matematyka, większość rzeczy się robi na czuja.

Czas na spotkanie sosu z makaronem i dokładne wymieszanie. Oraz na dodanie tartego parmezanu. Coś pomiędzy 100 a 200 g będzie w sam raz. Jeszcze raz pomieszajcie. Makaron musi być ciepły, by ser stopniał. Jeśli nie lubicie dań jaskich, to możecie usmażyć do tego pierś z kurczaka czy coś. Ale najlepiej po prostu zając się konsumpcją.



Babka grzybek – dla miłośników postapo

Jeśli zastanawia Was nazwa tego ciasta, to spokojnie, ono zdecydowanie nie zawiera grzybów. Za to jest trójwarstwowe i po przekrojeniu powstaje obraz, który komuś przypominał grzyba. No i jest dobre, to zdecydowanie jeden z moich ulubionych wypieków.

Składniki:

- 1 1/3 szklanki mąki do pieczenia
- 5 jajek
- 4 łyżki oleju
- 2/3 kostki margaryny
- 2/3 łyżki proszku do pieczenia
- 1/2 szklanki maku
- 1 szklanka cukru
- ze 4 łyżki kakao typu DecoMoreno
- bułka tarta
- masło

Masłem należy dokładnie wysmarować blachę na babkę, a następnie pokryć bułką tartą. Powinniście też przygotować 3 miski oraz mikser.

Żółtka należy rozdzielić od białek i wrzucić do dwóch różnych misek.

Nie róbcie tego nad tymi miskami, bo prawdopodobieństwo, że przy którymś jajku proces się nie uda, jest spore. A białko zanieczyszczone żółtkiem nie nadaje się do ubicia, więc takie nieudane sztuki muszą iść na jajecznicę albo do panierowania.

Utrzyjcie żółtka z cukrem, a następnie dodajcie margarynę i znowu utrzyjcie. A potem dorzucicie mąkę i znowu użyjcie miksera. Żeby się bardzo nie pyliło, to nie wsypujcie od razu całości, tylko po trochu. A potem olej oraz proszek do pieczenia i znowu to samo. Wyjmijcie trzepaki, wylizcie, a następnie umyćcie.

Umytymi trzepakami ubijcie białka na sztywną pianę. Pianę dodajcie do pozostałej masy ciasta i wymieszajcie mikserem. Pamiętajcie, że porządne mieszanie to klucz do sukcesu. Masa musi być gładka i jednolita, dobrze napowietrzona.

Pamiętajcie, że na początku wspominałam o trzech miskach? To świetnie, bo ciasto należy podzielić na trzy równe części. Pierwsza z nich pozostaje bez zmian, drugą mieszamy z kakao, a trzecią z makiem. Do tej z makiem nie używajcie miksera, tylko łyżki. Czas włączyć masę do formy. Na sam dół dajemy makową, potem kakaową, a na samą górę białą.

To, jak piec, zależy od piekarnika. Sama robiłam to w różnych, w tym takich, których jedyną regulacją to regulacja płomienia. Jeśli nie macie instrukcji obsługi, to sugerowałabym dać blachę na środkowe piętro lub na jak najwyższe, jeśli grzanie jest od dołu i często przypala dania; 180-200 stopni i po upływie 40 minut zacząć sprawdzać patyczkiem, czy się upiekło.



Moonlight

Pancakes, czyli puchate naleśniki z owocami dla dopieszczenia puchatych brzuszków

Gdy potrzebuję zjeść coś słodkiego, a jestem zbyt leniwa, by walczyć z moim piekarnikiem, który nie ogarnia nawet, jaką ma wewnątrz temperaturę, robię pancakes. Są nieco bardziej syte od zwykłych, tradycyjnych, cienkich placków, do tego wyglądają zdecydowanie bardziej zjawiskowo, nawet jeśli posmarujesz je tylko zwykłym dżemem kupionym w Biedrze. Dzięki temu nawet splukany student może zażyć nieco luksusu. Nic, tylko rozpiąć pasek od spodni i zabierać się do dzieła.

Składniki na 8 średniej wielkości placków:

- 2 jajka
- 400 g jogurtu typu greckiego (można zamienić na szklankę maślanki)
- 3 łyżki cukru pudru
- 1 łyżeczka sody oczyszczonej
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- ¼ szklanki oleju
- 1 ½ szklanki mąki
- szczypta soli
- ewentualne owoce dodawane do ciasta przed smażeniem (mogą być pokrojone w kostkę truskawki, banan lub gruszka albo garść borówek, porzeczek, czy malin solo lub w towarzystwie, jak kto lubi)

Do średniej wielkości miski wbijamy jajka. Jeśli macie wystarczająco dużo energii, możecie oddzielić żółtka od białek i ubić białka w osobnym naczyniu na sztywną pianę, dodając do nich uprzednio szczyptę soli. Ubitą pianę dodaje się na końcu do gotowej masy i miesza się wszystko delikatnie łyżką, aby

uzyskać dodatkową puchatość, ale nie jest to krok niezbędny. Do jajek dodajemy następnie jogurt i olej, po czym mieszamy całość z pomocą miksera lub zwykłej trzepaczki. Do otrzymanej mieszanki przesiewamy kilkoma partiami cukier puder oraz mąkę wraz z proszkiem do pieczenia i sodą oczyszczoną. Otrzymane ciasto jest dosyć gęste.

Jeśli lubicie urozmaicenia, do gotowego ciasta możecie wrzucić pokrojone owoce, które nadadzą plackom dodatkowej wilgoci i smaku, lub, jeśli macie ochotę, dodajcie kilka kropel ekstraktu (dobrze sprawdza się waniliowy, śmietankowy lub pomarańczowy). Następnie całość delikatnie mieszamy łyżką. W tym kroku nie używamy już miksera, by nie zmielić dodanych owoców na miazgę.

Na rozgrzaną patelnię (polecam używanie takiej nieprzywierającej, by uniknąć polewania jej dodatkowym tłuszczem) wylewamy chochelkę ciasta i rozprowadzamy je na powierzchni naczynia, próbując stworzyć kolisty placek o grubości ok. 0,5-1 cm. Gdy na naleśniku zaczną pojawiać się bąbelki, przekładamy go na drugą stronę (trwa to ok. 30 s). Każdy naleśnik smażymy do zarumienienia na średnim ogniu.

Gotowe placki podajemy z ulubionymi dodatkami. Polecam spróbować stworzyć z gotowych naleśników małe ciasta poprzez złożenie kilku placków w stosik po 3-4 sztuki, gdzie każdy kolejny pancake przekłada się innym dodatkiem. Świetnie sprawdza się kombinacja masła orzechowego, dżemu



i świeżych owoców. Na koniec stosik warto polać syropem klonowym, by całość stała się bardziej soczysta. Otrzymujemy w ten sposób wieżę rozpuszty, która swoim smakiem skutecznie zabija myśli o ilości pochłanianych kalorii.

Burgery cioci Moon, po których pokochasz swoje nowe sadelko

Tak właściwie, to zwyczajne domowe burgery wołowe, ale przy odpowiedniej kombinacji sosów i składników stają się czymś z wyższej półki. Gdybym mogła sobie na to pozwolić, to jadłabym je przynajmniej raz w tygodniu. To proste i bardzo satysfakcjonujące danie, dla małych i dużych głodomorów. Mówiłam o rozpinaniu spodni? Przy tym daniu lepiej od razu zamówić o rozmiar większe!

Składniki na 4-6 burgerów:

- 0,4 kg wołowego mięsa mielonego
- 0,25 kg wieprzowego mięsa mielonego (może być z łopatki)
- boczek wędzony (cienkie plasterki) – ilość wedle uznania
- ser (może być cheddar, ser pleśniowy albo jakiś topiony ser do tostów w wersji budżetowej)
- cebula
- ogórki konserwowe
- pomidor
- sałata lodowa
- bułki (gotowe lub własnoręcznej roboty)
- sól, pieprz
- musztarda
- majonez
- ketchup
- sos BBQ
- sos tabasco (opcjonalnie)



Na początek mieszamy ze sobą mięso mielone i doprawiamy je pieprzem, solą i porządną łyżką musztardy (można dodać więcej przypraw, można nie dodawać ich wcale, to już według uznania). Następnie z mięsnej masy formujemy krążki o średnicy trochę szerszej od używanych bułek, bo mięso kurczy się podczas smażenia, i o grubości ok. 1,5cm.

Otrzymane kotlety smażymy na niezbyt dużym ogniu (to też zależy od preferencji wysmażenia burgera) i gdy pierwsza strona nabierze ładnego brązowego koloru, przekładamy je na drugą i dokładamy na patelnię plastry bekonu. W tym czasie wstawiamy do nagrzanego piekarnika przekrojone bułki (nie powiem, na ile stopni nagrzać piekarnik, bo nie mam w moim termometru), można je też przystosować na suchej, rozgrzanej patelni przekrojoną częścią do dołu. W międzyczasie kroimy pomidora, ogórka i cebulę.

Po usmażeniu i odsączeniu mięsa z nadmiaru tłuszczu, składamy burgery. Ta część zależy od własnego uznania, ale zgodnie z obietnicą napiszę, jak to robimy w mojej kuchni.

Na spód bułki dodajemy majonez, na który kładziemy sałatę lodową. Na to układamy wysmażony bekon i zalewamy to sosem BBQ. Następnie na formowany stosik kładziemy kotleta, dajemy ser i polewamy ketchupem. Kolejna jest cebula pokrojona w krążki i ogórki, które kropimy sosem tabasco.

Ostatni na stosie stawiany jest pomidor, który przykrywamy górą bułki posmarowaną majonezem z odrobiną musztardy. Potem pozostaje schować wagę do szafy i przestać liczyć kolejne dokładki.

Teo

Kultowe parówki z serem w naleśnikach, by zostać w piwnicowej formie

Parówki to dziś jeden z głównych „must have” w polskich domach. Jak sprawić, by danie z tak prostych składników, jak znane wszystkim parówki, ser i naleśniki ponownie zaskoczyły nasze podniebienia? W tych trudnych czasach zabawa w kuchni i odkrywanie prostych przepisów na nowo może być ciekawą alternatywą dla znudzonych siedzeniem w domu piwniczaków. Do tego przepisu śmiało możecie dodawać swoje ulubione dodatki. Oczywiście o ile mieszczą się w granicach zdrowego rozsądku. Za ewentualne komplikacje jelitowe spowodowane dodawaniem tam bitej śmietany czy ogromnej ilości pieprzu nie odpowiadamy.

Składniki na 7 sztuk:

- Naleśniki:
 - mąka 25 dkg
 - szklanka mleka
 - szklanka wody gazowanej
 - 2 jajka
- dobrej jakości parówki (nie serdelki, 7 sztuk)
- ser – tutaj dowolnie, w kostce do przetarcia lub w plastrach (osobiście polecam goudę lub ementaler, około 25 dkg)
- ketchup
- bułka tarta
- olej i jajko do smażenia.



Przygotowanie: Od samego początku robi się ciekawie, ponieważ zaczynamy od przygotowania naleśników, Do miski wrzucamy składniki: mąkę i jajka oraz wodę i mleko. Następnie naszą masę mieszamy lub miksujemy kilka minut do uzyskania potrzebnej konsystencji. Gdy wszystko będzie gotowe, za pomocą chochelki przelewamy porcjami masę na rozgrzaną i natłuszczoną patelnię – polecam tutaj używać cienkiej, dedykowanej do smażenia naleśników, wtedy wystarczy samo dobre nagrzanie powierzchni bez używania tłuszczu. Z drugiej strony mamy przytyć, prawda? Zatem: jakimś cudem wyszło 7 naleśników i nie spowodowaliśmy pożaru w kuchni, jest to dobry znak! Czas zacząć smarować każdy z naleśników keczupem i posypywać serem. Tak przygotowany kocyk dla naszych zniecierpliwionych parówek owijamy wokół każdej z nich. Jeżeli myśleliście, że obejdzie się bez brudzenia rączek, to byliście w błędzie, bo nadszedł ten moment. Każdą parówkę w naleśniku maczamy teraz z każdej strony w jajku i posypujemy bułką tartą. Wszystko już prawie gotowe! Rączki umyte? Świetnie, zaczynamy więc smażenie nr 2! O taaak, będzie niezdrowo i tłusto. Każdy z biedakroketów obsmażamy z każdej strony do uzyskania złocistego koloru.

Gotowe parówki podajemy przecięte w pół pod kątem 45 stopni na talerzu z ulubionymi sosami. Smacznego!

Midday Shine

Na wstępie powiedzmy sobie szczerze – co rodzina, to inny przepis na te najbardziej podstawowe potrawy, względnie półprodukty do ich przygotowania; niekiedy w więcej niż jednej wersji. Jak u mojej babci. W jej zeszytach kulinarnych znajdują się co najmniej ze 3 przepisy na biszkopt. I nie ma w tym zjawisku nic złego. Przeciwnie. Nigdy nie wiadomo, która wersja receptury najbardziej przypadnie nam do gustu.

Pozwólcie zatem, że przedstawię Wam kilka z tych podstawowych przepisów z mojej rodzinnej kuchni. Możecie je potraktować jako ciekawostkę, przyjąć w całości albo wykorzystać jako bazę do stworzenia własnej wersji.

Powodzenia i smacznego!

Ciasto na pierogi

Pierogi. Jedna z bardziej charakterystycznych dla polskiej kuchni potraw. Stosunkowo prosta, a jednocześnie sycąca. Sztuka polega na tym, żeby dobremu farszowi towarzyszyło równie dobre ciasto – miękkie i elastyczne, żeby konsument nie miał wrażenia, że przeżuwa gumę albo gryzie podeszwę. ;)

Niniejszy przepis moja babcia dostała kiedyś od swojej (już nieżyjącej) bratowej. Przypadł nam do gustu, więc od ładnych paru lat korzystamy wyłącznie z niego.

Składniki

- ½ kg mąki
- ¾ szklanki bardzo ciepłej wody (ale nie gorącej!)
- 3 łyżki oleju
- 1 jajko
- 1 żółtko

Przygotowanie: Mąkę mieszajcie z wodą i olejem. Po chwili dodajcie jajko i żółtko. Całość zagniećcie i wyrabiajcie, aż w cieście pojawią się pęcherze, po czym odłóżcie na minimum 30 min.

Jeśli ciasto wyda się Wam za twarde, dodajcie trochę ciepłej wody i ponownie zagniećcie.

Piernik

Z racji, że moja mama nie przepada za ciemnymi ciastami, a święta i rodzinne imprezy są dla rodziców okazją do wizyt w cukierni, bardzo rzadko mam szansę zastosować ten przepis. Osobiście jednak bardzo go lubię, zarówno ze względu na miodowo-korzenny aromat piernika, jak i z powodu jego trwałości. No i można go zamrozić.

Składniki

- ½ kg mąki
- ½ kg płynnego miodu
- 1 szklanka cukru
- 25 dkg margaryny
- 1 szklanka mleka
- 4 jajka

- 1 łyżeczka sody
- 1 łyżka kakao
- 1 łyżka cynamonu
- trochę mielonych goździków (dla aromatu)
- bakalie, jeśli ktoś lubi

Przygotowanie: Zmieszajcie w misce mąkę z sodą, kakao i przyprawami. Mleko zagotujcie razem z margaryną, miodem i cukrem. Tą mieszaniną zalejcie składniki sypkie, starannie wymieszajcie i odstawcie. Gdy masa ostygnie, dodajcie jajka (i ewentualnie bakalie). Pieczcie w temperaturze ok. 180°C, przez ok. 45 min.

Uwagi: Zastąpienie prawdziwego miodu sztucznym nieco przyspiesza proces przygotowania ciasta. Zamiast cynamonu i goździków możecie użyć gotowej mieszanki przypraw do piernika.

Faworki

Faworki, zwane też chrustem lub chrustami, to jeden z hitów karnawału, a zwłaszcza jego końcówki. Ideałem są delikatne i kruche. Niestety spora część tych sprzedawanych w sklepach i cukierniach nie spełnia powyższych wymogów, więc warto mieć w zanadrzu przepis, by móc je przygotować samodzielnie.

Przy okazji: z tego ciasta można zrobić również tak zwane róże karnawałowe, ale ja nie mam z nimi doświadczenia, więc nie jestem w stanie podać Wam wskazówek w tym zakresie.

Składniki

- 25 dkg mąki
- 5 żółtek
- 2 łyżki gęstej śmietany
- 1 łyżeczka cukru
- 1 łyżeczka octu, soku z cytryny lub alkoholu
- ½ kg tłuszczu do smażenia (smalec lub olej)
- cukier puder (może być z domieszką cukru wanilinowego) do posypania

Przygotowanie: Z mąki, żółtek, śmietany, cukru i octu (lub jego zamiennika) zagniećcie ciasto jak na pierogi. Po dokładnym wyrobieniu wybijcie je wałkiem lub o stolnicę. Babcia zawsze mówiła mi o 100 razach, ale nie musicie liczyć każdego uderzenia; chodzi tylko o to, żeby ciasto się napowietrzyło. Gdy uznacie, że wystarczy, odłóżcie je na 30 min.

Po tym czasie rozwałkujcie je najcieniej, jak się da, i potnijcie radełkiem (lub nożem) na paski o szerokości ok. 2-3 cm i długości ok. 10-12 cm. Następnie w każdym takim pasku zróbcie na środku niewielką szczelinę i przewleczone przez nią jeden z końców.

Tak przygotowane faworki smaźcie na głębokim tłuszczu, aż się zrumienią. Gdy ostygną, zostanie Wam już tylko oprószyć je cukrem.

Babka ucierana

Ten przepis odkryłam ostatnio w jednym z babcinych zeszytów kulinarnych. Według notki na marginesie, dostała go od swojej teściowej, a mojej prababci. Wypróbowałam i wyszło dobre, więc z czy-

stym sumieniem mogę Wam ten deser polecić.

Aha, nie przejmujcie się, jeśli nie macie formy na babkę. Ja robiłam w keksówce.

Składniki

- 20 dkg masła
- 20 dkg cukru
- 20 dkg mąki
- 4 jajka
- trochę aromatu w olejku lub skórki pomarańczowej



Przygotowanie: Masło rozetrzyjcie dokładnie na gładką masę. Dodawajcie do niego po 1 jajku i po trochę cukru, cały czas ucierając, aż cukier przestanie chrupać/chrzęścić/jakkolwiek to nazywacie. Gdy już ponownie otrzymacie gładką masę, dodajcie mąkę i olejek (lub skórkę), wymieszajcie i wlejcie do formy. Pieczcie w temperaturze ok. 180°C, przez ok. 50 min.

Uwaga: Wszystkie składniki muszą mieć tę samą temperaturę, bo inaczej masa zacznie się warzyć. Mnie się to przydarzyło i chyba tylko cudem ją odratowałam. Wszystko przez to, że masło ogrzało się szybciej niż jajka. Tak że dla pewności najlepiej wyciągnijcie sobie jedno i drugie z lodówki przy najmniej parę godzin wcześniej.

SoulsTornado

Pasta alla carbonara

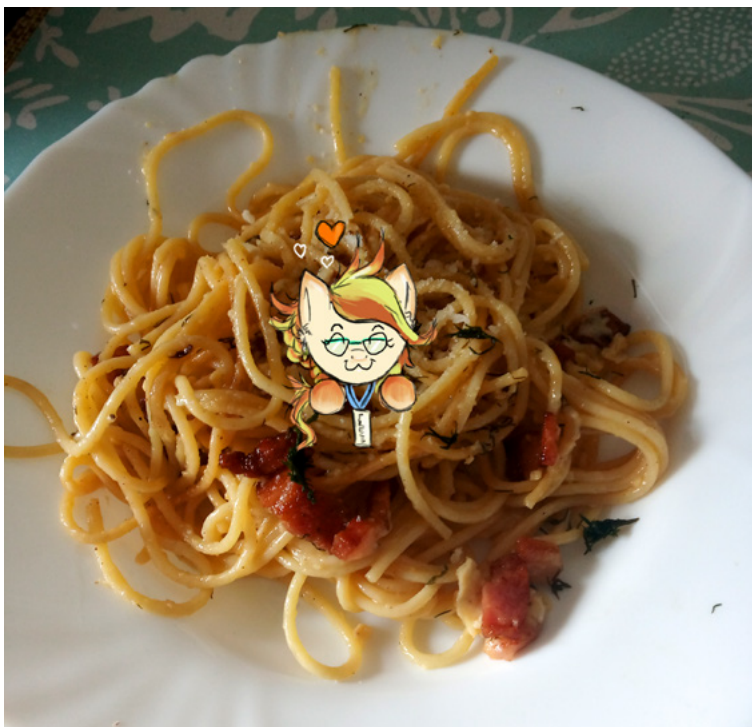
Włochy makaronem i łamaniem kwarantanny stoją. Kuchnia śródziemnomorska stworzyła zatrzęsienie tak rodzajów sosów, jak i typów samych klusek. Przedstawię Wam przepis na danie tak smaczne, jak tłuste i sycące – klasyczną carbonarę, czyli dosłownie makaron „po węglarsku”. Jest naprawdę szybka i niezbyt uciążliwa w przygotowaniu.

W przeliczeniu na cztery osoby będziemy potrzebować:

- 400 g makaronu, najlepiej spaghetti
- 100 g boczku (kostka)
- 3 jaj
- po 2 łyżki startego sera pecorino i parmezanu (jak nie macie któregoś z nich, to uzupełnijcie drugim)
- oliwy z oliwek
- 2 ząbków czosnku
- soli i pieprzu

Jeśli chodzi o przygotowanie, carbonara jest daniem prostym, aczkolwiek dość łatwo spartolić pewien moment. Pokrojony boczek podsmażamy na oliwie z dodatkiem wyciśniętego czosnku (czosnek po zarumienieniu się mięsa usuwamy). W oddzielnej misce rozbijamy i mieszamy jajka. Makaron gotujemy zgodnie z instrukcją oraz własnymi preferencjami, a następnie odcedzamy (odlejcie trochę wody z makaronu do jakiegoś naczynia, może się jeszcze przydać). Nie przelewamy zimną wodą! Teraz newralgiczna czynność – łączymy gorący makaron z rozbełtanymi jajkami. Jeśli zrobimy to zbyt

wcześniej po odcedzeniu, jajka momentalnie się zetną i nie połączą się dobrze z resztą dania, jeśli zbyt późno – zetną się zbyt słabo. Jeżeli poczekać pół minuty po odcedzeniu, powinno być dobrze. Dodajemy boczek, połowę serów, sól i pieprz do smaku i dobrze mieszamy. Jeśli carbonara ma zbyt gęstą konsystencję, możemy dodać trochę wody odlanej z makaronu. Porcję posypujemy resztą sera.



W przepisach na carbonarę często można znaleźć śmietanę, co w kuchni włoskiej jest rzeczą... sporną. Osobiście preferuję przepis z samymi jajkami, ale o gustach się nie dyskutuje, kijem bić nie będę, jeśli dodacie śmietany lub jogurtu naturalnego. Buon appetito!

Chili con carne z tortillami pszennymi

Przeskakujemy na zupełnie inny kontynent.

Chili con carne – jedno ze sztandarowych dzieł kuchni teksańskiej, nieślubnego dziecka Amerykanów i Meksykanów. Ostre jak maczeta, wyraziste jak gra aktorska Danny'ego Trejo. Do tego możemy przygotować własnoręczne tortille na zakąskę, jeśli nasze kubki smakowe potrzebują miłosierdzia.

Do przygotowania chili z mięsem potrzebujemy przede wszystkim mięsa (NASA plz hire me). Najlepsza będzie mielona wołowina, ale jak weźmiecie wieprzowinę, tragedii nie będzie. Oto ilości składników dla czterech osób: łyżka oliwy z oliwek;

- 1 cebula (drobna kostka)
- 1 papryka czerwona (drobna kostka)
- 2 ząbki czosnku (starty)
- 500 g mięsa mielonego
- 2 świeże pomidory lub puszka pelati (pomidorów całych bez skórki), lub 2 puszki gran cubetti (pomidorów krojonych bez skórki) (kostka)
- 200 g czerwonej fasoli ugotowanej lub z puszki
- kostka bulionu wołowego
- 1 łyżeczka sproszkowanego chilli
- 1 łyżeczka zmielonego kminu rzymskiego (kuminu)
- 1 łyżeczka oregano
- 1 łyżeczka cukru
- szczypta soli i pieprzu

Nie bójcie się dostosować ilości przypraw do preferencji domowników oraz nie używajcie mixu do chili con carne – doprawiając samemu, możecie kontrolować smak według uznania. Do dania możemy też dodać 100 g boczku, pokrojonego w drobną kostkę lub zmielonego, i kilka suszonych pomidorów – osobiście polecam.

Ten przepis również nie należy do skomplikowanych, choć jest dużo bardziej czasochłonny od poprzedniego. Bierzymy jak największą patelnię i podsmażamy na oliwie cebulę (do szklistości). Następnie dodajemy starty czosnek, chilli, kmin i oregano i smażyjemy jeszcze przez minutę, ciągle mieszając,

by nie dopuścić do spalenia się przypraw. Dorzucamy mięso mielone i boczek i podsmażamy je do zarumienienia. W międzyczasie przygotowujemy pomidory. Świeże należy sparzyć, obrać, usunąć rdzeń i pestki i pokroić w kostkę, a z puszki – odsączyć i rozdrobnić. Kiedy mięso będzie gotowe, dodajemy pomidory na patelnię i przyprawiamy solą, cukrem i pieprzem, a następnie dusimy mieszaninę przez około 20 minut pod przykryciem na średnim ogniu. Dodajemy paprykę oraz suszone pomidory i gotujemy kolejne 10 minut, a następnie wrzucamy fasolę i trzymamy wszystko na ogniu jeszcze kilka minut, regularnie mieszając. Jeżeli danie podczas przygotowania mocno odparowuje, możemy je podlać bulionem do konsystencji gęstego sosu.

Przejdźmy do tortilli. Do zrobienia 12 sztuk potrzebne są:

- 2 szklanki mąki pszennej
- pół łyżeczki soli
- 3 łyżki tłuszczu stałego (masła lub smalcu)
- 2/3 szklanki wrzątku

Do miski wsypujemy mąkę, dodajemy sól i tłuszcz. Wlewamy do miski wodę, bezpośrednio polewając tłuszcz, by go zmiękczyć. Łączymy składniki widelcem (aby się nie poparzyć) i, kiedy temperatura ciasta na to pozwoli, zaczynamy je wyrabiać. Gdy będzie już gładkie, formujemy z niego kulę, owijamy je w folię spożywczą i zostawiamy na godzinę w temperaturze pokojowej. Potem dzielimy ciasto na 12 części, formujemy z nich kulki i znów zostawiamy na kwadrans do godziny pod przykryciem. Kulki rozwałkowujemy na jak najcieńsze placki, otrzepujemy z mąki, jeśli podsypaliśmy nią ciasto przy wałkowaniu i prażymy na suchej, gorącej patelni. Ciasto smaży się momentalnie – pojawiają się w nim bąble powietrza, a spód pokrywa się brązowymi plamkami. Po ok. 30 sekundach przewracamy tortillę na drugą stronę i trzymamy kolejne pół minuty. Jeszcze dosłownie na moment przekręcamy placek z powrotem i zdejmujemy go z patelni. Smażenie tortilli wymaga uwagi i odrobiny ogólnej sprawności w kuchni. Chwila nieuwagi, a tortilla się zjara. Dwie chwile – macie spaloną patelnię. Warto jednak się pomęczyć, bo wychodzą pysznie.

Chili możecie zawijać w tortille lub je nimi zagryzać. Świetnie smakuje na świeżo, odgrzewane, jak i na zimno.

Victoria Luna

Babcina szarlotka na kruchym cieście

Jak przytyć, to tylko z ciastem. Przyznam się, że uwielbiam słodkości, a jako że mam jakiś tam talent do pieczenia ciast (czytaj: nie spalić biszkoptu czy co tam czaruję), postanowiłam postawić na typowo babciny przepis z (mojego) dzieciństwa – jabłecznik z budyniem na kruchym cieście. Wypiek ten łatwo zrobić, jest smaczny, a składniki znajdziemy na naszym własnym, polskim podwórku, więc nie musimy produkować się z poszukiwaniem wymyślnych składników, a co za tym idzie – nie musimy spoglądać z trwogą na paragon.

Składniki na ciasto:

- 0,5 kg mąki pszennej
- ½ kostki margaryny (nie musi być to jakaś Kaśka)
- 2 żółtka
- 1 całe jajko
- 2,5 łyżeczki proszku do pieczenia
- 1 szklanka cukru

- 2 łyżeczki cukru waniliowego
- 2-3 łyżki śmietany

Składniki na nadzienie:

- 1 kg jabłek (jeśli ktoś chce więcej, nie ma problemu) – z osobistych doświadczeń polecam jabłka z rodzaju Lobo – mają lśniąca, lekko tłustawą skórkę i są średnich rozmiarów. Zazwyczaj są pół zielone, pół czerwone.
- Budyń śmietankowy (jak z proszku to dwie saszetki)

Potrzebne będą:

- Blacha 40 cm x 27 cm lub inna prostokątna forma
- Para w łapach
- Tarka
- Kilka misek
- Działający piekarnik (nie piekłam jeszcze w mikrofalówce)
- Miejsce na bajzel

Zaczynamy!

Gdy wrócicie z zakupów, ogarnijcie swoje miejsce pracy (BHP to podstawa) i przygotujcie kuchenne narzędzia. Do dużej miski wsypujemy mąkę, dodajemy margarynę, żółtka i jajko, proszek do pieczenia, cukry, śmietanę i ugniatamy przyszłe ciasto. Zostawiamy je w spokoju, by odpoczęło przez chwilę, i bierzemy się za ścieranie jabłek na grubych oczkach (zazwyczaj są na dłuższym boku). Jeśli to jest wasza pierwsza przygoda z jabłecznikiem, nie wystraszcicie się brązowiejącej jabłecznej masy. To normalne i nie wyrzucajcie tego! W międzyczasie robimy budyń, pilnując, by nie przypalić garnka (na mocne przypalenia polecam proszek do prania, najlepiej w połączeniu z ciepłą wodą. Mieszamy i odstawiamy na kilka-kilkanaście minut, a potem myjemy). Zanim damy ciasto na blachę, smarujemy ją masłem i posypujemy mąką. Resztę mąki wysypujemy z formy. Nakładamy pół ciastowej masy, potem jabłka, na to budyń, a na koniec resztę ciasta. Piekarnik nagrzewamy do 170 stopni Celsjusza (443 kelwiny) i dajemy tam nasze cukiernicze dzieło na 50 min. Ostudzone ciasto można udekorować cukrem pudrem czy własnymi pomysłami.

Smacznego!

MANAD.PL



**W NASZYM SKLEPIE ZNAJDZIECIE WIELE
INTERESUJĄCYCH GADŻETÓW!**

**REALIZUJEMY ZAMÓWIENIA
Z WŁASNYM WZOREM NA:**

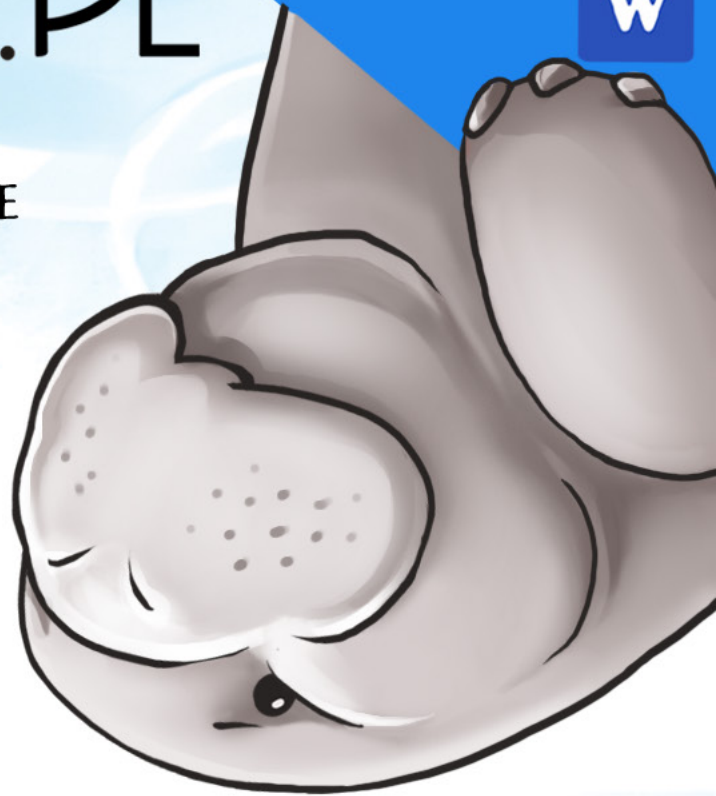
- **PODKŁADKI**
- **PRZYPINKI**
- **NASZYWKI**
- **KOSZULKI**
- **KUBKI**

I WIELE INNYCH!

**WSPIERAMY OD STRONY
TECHNICZNEJ ORGANIZACJĘ
IMPREZ TYPU MEET/KONWENT
O DOWOLNEJ TEMATYCE**

WYPOŻYCZAMY TEŻ SPRZĘT:

- **KONSOLETY/MIXERY**
- **NAGŁOŚNIENIE**
- **OKABLOWANIE**
- **OŚWIETLENIE**
- **MIKROFONY**



GUMZILLA

AUTOR: ARTWORKTEE

Autor: [Artworktee](#)

Tłumaczenie i opracowanie
graficzne: SoulsTornado



ARTWORKTEE.COM

DISCORD X MAUD PIE

AUTOR: ARTWORKTEE

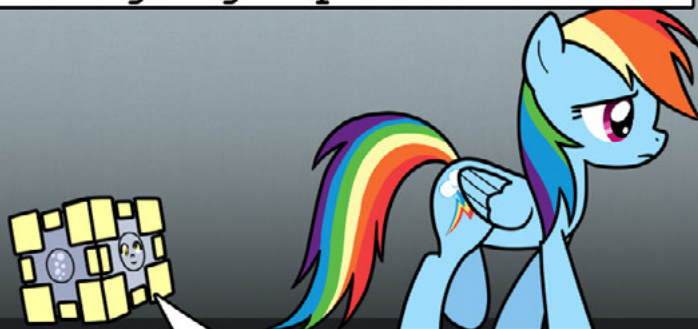


ARTWORKTEE.COM

PORTAL Z KLUCAMI

AUTOR: ARTWORKTEE

Prosimy o odprowadzenie swojej
Kostki Towarzyszącej do
Awaryjnego Spopielacza
Inteligencji Aperture Science



WSZYSTKO DOBRZE, RAINBOW
DASH? MOGĘ CI JAKOŚ POMÓC?



OOO, ZJEŹDŻALNIA!
BĘDZIE ZABAWA!

PO PROSTU NIE WIEM, CO POSZŁO
NIE TAAAAAAAK!



ARTWORKTEE.COM

ULTIMATUM SUNSET

AUTOR: ARTWORKTEE



ARTWORKTEE.COM

STOP, SOLARIS TIME

BY CAHAN

Pewnego wieczoru Cahan sprawdzała, czy korekty są gotowe.



Nie zrobisz korekt, pierożku!

Wróciłem z pracy, jutro zrobię.

Następnego dnia.



IDĘ DO PRACY!

2 dni później.

Korekty...

Matyas...

...DOTO?

3 dni później



4 dni później..

Jaką masz teraz wymówkę?

Ale ja nie jestem Solar!

SOLAR, KOREKTY!

Jasne...

Idę zrobić kopytka!